Nr. 23 (1223). Warszawa, 22 Maja (4 Czerwca) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Nowe przymierze.

Od dwóch tygodni utrzymuje się w prasie niemieckiej i francuskiej prąd nowiniarski, przynoszący światu nowe przymierze w stanie wprawdzie jeszcze nierozpoczętych narodzin, ale już w stanie dokonanych pożądliwości. Sprzymierzyć się mają Prusy z Rosyą. Robót dyplomatycznych, pozytywnych nikt jeszcze wskazać nie zdołał; ale prócz dawniejszych już oznak życzliwości cesarza Wilhelma dla Rosyi i pragnienia ostatecznych dla niej zwycięztw w obecnej wojnie, prócz symptomatów interesu politycznego Niemiec na wschodzie Azyi, są jeszcze wskazówki ogólne. Poważne spojrzenie na cały ten ruch myśli, kręcących się około przymierza pozwala coś więcej w nim dostrzedz prócz akademickich tylko rozpraw na temat zbliżenia się Prus do Rosyi — temat zresztą przez samą rzeczywistość stawiany, chociaż w kształtach dalekich jeszcze od tych, w jakie go nowiniarski artyzm przyobleka. W dociekaniach i wywodach przeważnie teoretycznych wyczuć można, jeśli nie samą robotę, to przynajmniej tętno polityki bieżącej.

Pogłoski wzmocnił, rozumowaniom na temat przymierza nowy dał rozpęd artykuł *Matin'a*. Dziennik paryski otrzymał z Londynu wiadomość, jakoby z poważnych sfer, angielskich zaczerpniętą, że Niemcy wszelkiemi sposobami usiłują do związku swego z Austryą wciągnąć i Rosyę, która, zdaniem owych sfer, nie powinnaby się okazać oporną, przymierze bowiem z Niemcami zapewnia jej możność rozwiązania sprawy wschodnio-azyatyckiej bez możliwości nieprzyjaznej interwencyi angielskiej. W samym Londynie wątpią o dojściu do skutku nowego układu potęg; w Paryżu, rzecz prosta, samo jego przypuszczenie odpychają ze wstrętem; w Berlinie wreszcie, gdzie widoczna jest wielka uprzejmość dla Rosyi, podejrzenie rzucone przez korespondenta londyńskiego wywołuje miłe łechtanie. W samej rzeczy, nad wszelkie inne przymierza, bismarkowskiej czy innej fundacyi, milszem byłoby w Berlinie tradycyjne przymierze z Rosyą, gdyby tylko Rosya zawrzeć je chciała. Związawszy się z nią teraz, miałyby ręce rozwiązane i w Europie przedewszystkiem przeciw kochanemu swemu sprzymierzeńcowi, Austro-Węgrom, i w Azyi, gdzie tą lub ową metodą, raz poczuwszy za sobą Rosyę, mogłyby skromną swoją dzierżawę kiaoczauską rozdąć w całe państwo kolonialne szantuńskie.

Wiele zajmujących uwag nad projektem dziennikarzy zachodnio-europejskich wypowiada dziennik *Birżewyja Wiedomosti*. Przypominając przedewszystkiem solidarność interesów rosyjsko-austryackich na półwyspie bałkańskim — solidarność, oczywiście, dyplomatyczną, gazeta petersburska twierdzi, że Austrya mogłaby tylko radośnie powitać związanie się Rosyi z Prusami. „Stara to prawda — czytamy — że przyjaźń rosyjsko-niemiecka ma w sobie wielką siłę żywotną, że jest pierwszorzędnym czynnikiem postępu, że daje oparcie pokojowi wszechświata politycznego, na wszelkich długościach i szerokościach geograficznych. Przyjaźń rosyjsko-pruska na obecną ciężką chwilę okazałaby się o wiele rzetelniejszą od kłamstw kancelaryi dyplomatycznych w Londynie i Waszyngtonie, zdolną byłaby odgrodzić świat cały od niebezpieczeństwa, które mu grozi np. wrazie wmieszania się Chin do wojny z Japonią.“ Dalej *Birżewyja Wiedomosti* mówią o zamiarze Niemiec wysłania silnej eskadry na Ocean Spokojny. Każdy szczery przyjaciel pokoju powitałby taką wyprawę ze szczerem zadowoleniem. Jeżeli Rosya, urzędowa i nieurzędowa, życzliwie przyjęła umowę francusko - angielską, to dlaczegóżby związanie się jej teraz z Niemcami nie miało znaleźć powszechnej sympatyi? Dziennik nie wątpi i o francuskiej.

Zwracając się do podań historyi, gazeta ma zapewne prawo mówić, że stosunki Rosyi z Niemcami wytworzyły się drogą naturalnego współdziałania. Między obu mocarstwami niema dziś wcale rozdzierających sporów terytoryalnych; spory zaś ekonomiczne ureguluje traktat handlowy, bliski już odnowienia na zasadach zgodnie ułożonych. Nic nie przeszkadza odrębnej, umyślnej ugodzie o Daleki Wschód. Rosya i Niemcy stykają się tam z sobą, Rosya i Niemcy zarówno interesowane są w tem, aby fala chińska nie zatopiła wszystkiego, co już dotychczas wytworzono nad brzegami Oceanu Spokojnego, aby tryumf rasy żółtej nie stał się nieszczęściem zarówno dla Rosyan, jak dla Niemców. Taka odrębna ugoda mogłaby napotkać niechęć tylko w Anglii, która chce na wojnie obecnej utuczyć swój imperyalizm. Dziennik petersburski bardzo znamiennie kończy: „Jak w żywym organizmie ludzkim serce tylko utrzymuje obieg krwi w żyłach, tak jedynie tylko przy współdziałaniu przyjaźni rosyjsko-niemieckiej, zdolnej ujawnić się czynami w Europie i Azyi, możliwem jest zdrowe życie międzynarodowe.“ Jeżeli istotnie Niemcy już zaczęły iść do celu, bardzo trafnie wskazanego przez gazetę petersburską, to przewidywania wysnute z mowy p. Bülowa w d. 16 lutego, nie by-

ły urojeniami. Wpływ nowego układu potęg europejskich na losy ostateczne Japonii i Chin, na sam zakres wojny obecnej miałby wielką dla dziejów doniosłość i przypomniałby zespolenie się Europy przeciwko Japonii w r. 1894—5.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stał się fakt ważny: Japończycy z Pi(Pu)-tsi-uo zdobyli d. 26 z. m. Kin-czau (Tsindżan) przy drodze żelaznej z Mukdenu do Portu Artura na północnym krańcu międzymorza pomiędzy zatokami Society-Bay na zachodzie i Talien-uan-tau na wschodzie. Gen. Sztessel, dowódca garnizonu Portu Artura, korzystając z niezwykle przyjaznego upostaciowania lądu, stanął był u wrót międzymorza i rozciągnął linię swą od Kin-czau do Nang-huang-linu na południo-wschodzie, tak że zupełnie prawie przesmyk, szeroki na 4—5 kilometrów, zagrodził. Mając jedną tylko pełną dywizyę z nieliczną jej artyleryą, wzmocnił górzystą pozycyę swoją 30 działami wielkiego kalibru, gęstymi przekopami, 10 bateryami w wysokich szańcach, esplanadami dla ognia piechoty, obwiódł to wszystko płotem kolczastym i nakoniec powkopywał miny, które nieprzyjacielowi musiałyby na licznych punktach postępującego frontu zgotować zniszczenie. Generał rosyjski spełnił swój obowiązek, uprzedzając natarcie na punkta bliższe Portu Artura, spełnił go i żołnierz rosyjski, broniąc obwarowanej przez generała pozycyi z wielką uporczywością i męztwem. Ale przewaga liczebna, gwałtowność natarcia i uporczywość w boju przeciwnika, jawnie już gardzącego śmiercią, wszystkie te wysiłki udaremniły.

O całym tym wypadku wiemy dotychczas tylko z depesz Reutera, ze źródeł japońskich. Odcięcie wielkiej warowni morskiej nie pozwoliło gen. Sztesselowi wysłać buletynu do gen. Kuropatkina. Według tedy wiadomości Reuterowskich walka trwała przez 5 dni; zapewne trzy pierwsze wypełnione były drobnemi utarczkami, zwykłemi przy zbliżaniu się frontów nieprzyjacielskich. Właściwe działanie rozpoczęli Japończycy d. 25 z. m., we środę, ostrzeliwaniem Nang-huang-linu, aby sobie umożliwić obejście, a wojsku rosyjskiemu uszczuplić podstawę działania. Ogień z wielkich dział oblężniczych, które równie, jak pod Ku-lien-czengiem nad Jalu, Japończycy i tu wprowadzili do boju, wywarł skutek: większe siły rosyjskie zgromadzić się już w Nang-huang-linie nie mogły i pozycya ta utraciła wagę rozstrzygającą. Cały rozpęd japoński skierował się na Kin-czau i na południe na wzgórza Nan-szan. Atak, rozpoczęty nad ranem d. 26 z. m., we czwartek, przed południem już zakończył się zdobyciem miasta. Teraz dopiero czekał Japończyków trud krwawy. Wzgórza owe przez wyżej wspomniane obwarowania zamienił był gen. Sztessel w fortecę polową. Japończycy musieli ją brać szturmem. Ponawiali go kilkakrotnie, raz po raz padali prawie wszyscy jak byli, zaścielając stoki wzgórz swemi ciałami; aż wreszcie przy współdziałaniu ognia ze straszliwych bateryi i z okrętów w Society-bay, przy nadludzkich wysileniach i zapamiętałości fanatyzmu bojowego — zmusili dywizyę rosyjską do ustąpienia na południe.

Walka, rozpoczęta o świcie, skończyła się dopiero przed zachodem słońca. Niesłychane straty poniosło wojsko japońskie: sami Japończycy urzędownie podają je na 3,500 poległych i rannych; ciał rosyjskich miało zostać na pobojowisku 500, co nie wydaje się bynajmniej skłamanem: kilkunastogodzinna bowiem walka przy konieczności szybkiego odwrotu, gdy już ostatni szturm dał Japończykom przewagę, musiała o większe jeszcze straty przyprawić wojsko gen. Sztessela. Nie było czasu zabierać poległych; dobrze jeszcze, jeśli zdołano uprowadzić rannych.

W boju Japończycy byli jakie półtrzecia raza silniejsi: jest to zwykłe stosunek sił przy zdobywaniu warowni. Działały dywizye japońskie; według innej depeszy, aż trzy: z Osaki, Tokio i Nagi, ale nawet w tym wypadku stosunek powyższy, przy mniejszej liczebności dywizyj japońskich, niewielkiej ulega zmianie. Dodać potrzeba na zaletę rozporządzenia gen. Sztessela, że przez czas boju kanonierka rosyjska z zatoki Talien-uańskiej ostrzeliwała nieprzyjaciela, a na szczęście Japończyków — żadna mina nie przyniosła im zagłady.

Niu-czuang napowrót zajęły wojska rosyjskie w większej, niż poprzednio sile; ale nie pospieszyły na półwysep Kuantuński z odsieczą, której wykonalność i skuteczność nie leżała bynajmniej w obrębie nieprawdopodobieństw, dopóki armia japońska rzeczywiście już nie wylądowała w Takuszanie, a ważny ten dla strategii konkretnej wypadek stał się przecież dopiero d. 23 z. m.

Według nader licznych i szczegółowych doniesień gen. Kuropatkina, sięgających do 28 z. m., linie japońskie od Fyng-huang-czengu zbliżyły się nieco ku Liao-janowi, ale oczywiście na głównym trakcie wojennym stały jeszcze przed przełęczą Mo-tien-lin, gdzie niewątpliwie czeka Japończyków odpór bardzo poważny, gdzie też czeka na nich w razie niepowodzenia wielkie niebezpieczeństwo. Dążność ku owemu Sama-tsi na północy teraz, po wylądowaniu w Takuszanie, niezawodnie wzmogła się i w sztabie japońskim; jednocześnie zaś na południu kierunek zachodni pochodu na Siu-jan, Haj-czeng i Niu-czuang nabiera prawdopodobieństwa, które w razie urzeczywistnienia się pozwoli na zatoczenie zarysowanego tu półkola i zarazem zmniejszy owo niebezpieczeństwo walki w Mo-tien-linie.

Z polityki są do zaznaczenia pogłoski o zbliżaniu się Niemiec do Rosyi; z nich zaraz wywiązują się inne: o przymierzu trójcesarskiem. Znamiennym jest z powodu nich artykuł dzien. *Birżewyja Wiedomosti.*

P. Tisza d. 28 z. m. odpowiadał w delegacyi węgierskiej na pytanie Rakovszky'ego, czy prawdą jest, że Austrya chce okupacyę Bośni zamienić na anneksyę? Jako żywo nie! Monarchia — brzmiała odpowiedź — chce tylko rozwoju ludów bałkańskich, nie dąży do podboju, nie sięga po wpływ przeważny, ale nikomu innemu też mieć go nie pozwoli. Rozeszły się już były pogłoski, wprost przeciwne utajonym pod interpelacyą, mianowicie, że Serbia przypomniała Austryi traktat berliński i obowiązek ustąpienia z Bośni, w której przecież panują stosunki zupełnie prawidłowe.

Izba dep. Francyi była d. 28 z. m. widownią walki o poselstwo w Watykanie. Zwyciężył rząd, otrzymując votum zaufania od Izby 420 głosami przeciwko 90. W większości były stronnictwa rządowe 285, republ. umiarkowani — 75 i nacyonaliści wszelkiego gatunku — 60. Odwołanie p. Nisarda uznano za dobre. Papież swemu nuncyuszowi, Lorenzellemu, daje tylko urlop. P. Combes nader okolicznie przyrzekł w styczniu 1905 zabrać się do oddzielenia kościoła od państwa. Niebardzo będzie się kwapił; o wiele lepsze dla niego są porządki konkordatu.

Anglicy, dostawszy działa, zdobyli forteczkę tybetańską pod Hyn(Gyan)-tse. Po otrzymaniu posiłków ruszą na Lhassę.

Koronacya króla Piotra odbędzie się albo w końcu czerwca, albo w sierpniu.

Ces. Wilhelmowi złoży wizytę w Kielu król Edward, jako admirał *à la suite.*

Arne Garborg.

W Stowarzyszeniu młodzieży.

(Ciąg dalszy).

W tem przed nami ukazał się dom modlitwy. Był to duży, czerwony, murowany budynek z wysokiemi, wązkiemi oknami, jak w kościele. Wejście było otwarte, jak rozwarta, głodna paszcza. Stary Adam jeszcze raz odezwał się we mnie, ale został pokonany. Menuet Nordraaka przycichał, a wreszcie zamarł zupełnie. Biały kwef Maryi Stuart ukazał się i znikł, niby w gęstwie leśnej. Westchnąłem, uzbroiłem się w cierpliwość, porzuciłem nadzieję rozrywki i kroczyłem prosto w otwartą paszczę, mając przy każdym swoim boku dobrego przyjaciela.

Uciekać nie było sposobu. Zresztą i nie myślałem o ucieczce. Świat ze wszystkiemi swemi rozkoszami nie mógłby na długo użyczyć duszy mojej uspokojenia; wcześniej lub później muszę i tak zawrócić z błędnej drogi — a przy tem byliśmy już pod progiem.

Weszliśmy do niezmiernie dużej sali, podłużnej, o bielonych ścianach i oknach od północy. Dla nas, wchodzących z jaskrawego, oślepiającego blasku, było miłe to przyćmione światło. Również dobrze działał na nas ten chłód, powietrze jednak zdawało mi się nieco duszne.

Na wewnętrznej ścianie, naprost drzwi wisiała duża, czarna, ścienna tablica, nadająca pokojowi wygląd izby szkolnej. Tablica ta była otoczona wiązanką choiny, na znak, że tu odbywa się dziś jakaś uroczystość. Podłoga była układana w kostkę, a krzesła i ławki zgromadzone razem w rogu przy wejściu. Nieco dalej, w głębi sali, na-prawo stał wielki stół, nakryty; dojrzałem mięszaninę i przygotowane kromki chleba z masłem. Dalej jeszcze ustawili się przybyli goście w zwarty szereg, a raczej w dwa szeregi, zostawiając przejście w środku sali. Najwyżej, pod samą tablicą stała mównica, a właściwie zwykła katedra nauczycielska.

Przystąpiliśmy do jednego z dwóch szeregów, a mianowicie na prawo; a kiedy już stanąłem pewnie i znalazłem miejsce dla moich rąk i pleców, począłem rozglądać się w tem zgromadzeniu młodzieży, która zerwała ze światem i jego uciechami.

Byli to stateczni, poważni ludzie, przeważnie subjekci lub czeladnicy, trochę studentów. Zachowywali się zupełnie cicho. Stali, mniej lub więcej wygodnie, jeden tuż obok drugiego; wyglądali, jak gdyby skupili się do wspólnej obrony. Niektórzy rozmawiali, ale półgłosem — zauważyłem też czasem u któregoś z nich uśmiech, zwłaszcza wśród tych, którzy stali w podłuż sali.

Zdawało mi się, że to pachnie zepsuciem, by się ludzie w tem miejscu odważyli śmiać, a więcej jeszcze o zepsuciu światowem mówił długi stół nakryty. Podejrzliwem okiem objąłem zastawę — chyba tu piwa nie będzie! — Nie, rzeczywiście nie było piwa. Tylko mleko. No, temu nic nie można było zarzucić. Zrobiło mi się trochę ckliwo, w tem oko moje padło na drużynę śpiewaczą: małe o niebieskim grzbiecie śpiewniki szeleściły w ich rękach. Mały Hopen stał w pobliżu mównicy z urzędową miną. — Chwała Bogu, będzie śpiew! — odetchnąłem.

Drzwi były wciąż otwarte; ze światła dziennego na dworze wyłaniał się od czasu do czasu ktoś pojedynczo lub grupa jakaś zdążała tu na obchód. Wchodzili w pierwszy lub drugi szereg i znikali w nim; nie znać było przyrostu. Wpatrywałem się w drzwi, aż mnie oczy bolały, spodziewając się każdej chwili nadejścia tłumu. Ale nie ukazał się żaden tłum. Tam, z pola dochodził gwar miasta w niedzielnym blasku — młodzież biegnie, poszukując radości tego świata, jak gdyby nie czekała jej śmierć, Sąd ostateczny. W gruncie rzeczy

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Zawołano mię wreszcie na wieczerzę. Była wspaniałą. Składała się z ryżu, z bobu, z kwaszonej rzodkwi z pieprzem, z jakichś mdłych, suszonych liści, trochy ryby solonej i miseczki gotowanych wnętrzności bydlęcych, mocno pachnących nawozem i czarnych, jak nawóz. Spróbowałem wszystkiego, ale zjadłem jedynie ryż i rzodkiew ku wielkiemu zdziwieniu i zgorszeniu ton-sy i gospodarza.

— Będziesz głodny! — upominali mię oni.

Istotnie byłem bardzo głodny i nie mogłem odżałować, że nie wziąłem z sobą nic, nawet sucharów. Zjadłem więc, zamknąwszy oczy, wszystkie potrawy roślinne, jako względnie schludniejsze... O Boże, jakie to wszystko było ostre i gryzące!... Usta mi w mgnieniu oka opierzchły... Po skończonej wieczerzy miałem uczucie samowaru, naładowanego gorącymi węglami...

Nadomiar gdym się wyciągnął do spania na posłaniu, zrozumiałem, że tym razem nie uda mi się żadną miarą ostygnąć. Podłoga była nagrzana, jak żelazko do prasowania. Podgarnąłem pod siebie dwie maty i próbowałem usnąć, licząc, że zgaszenie w kuchni ognia wywoła rychło zniżkę temperatury. Gdzie tam!.. Ton-sa zadmuchnął małą, naftową lampkę w wysokim świeczniku; suchotnik gospodarz przestał kaszlać i zachrapał, ucichł kaszel suchotnicy gospodyni w sąsiednim lamusie, ton-sa się już na drugi bok przewrócił, a ja wciąż daremnie czekałem zniżenia się temperatury, niemiłosiernie podgrzewany z dołu. Wreszcie obudziłem ton-sę i powiedziałem mu, aby kazał otworzyć lufty, gdyż mię krew zaleje. Zapalił lampę naftową i siedział długo senny i stroskany.

— Nic nie pomoże... Żadne lufty nie otworają się... My, Korejczycy, lubimy ciepło... Niech sir położy się na mojem miejscu, ono jest chłodniejsze, gdyż gorętsze ustąpiłem tobie, panie...

Przesunąłem więc niezwłocznie moje maty i mój wojłok na to gorsze miejsce, podłożyłem pod siebie kołdrę a nakryłem się paltotem... Mimo to jeszcze mię z dołu paliło, choć jednocześnie wilgotny, zimny, górski wiatr owiewał, przedzierając się przez otwory w papierowych drzwiach. Istotnie miejsce ton-sy było dla tych przeciągów o wiele gorsze. Szaruga lała na dworze, co się zowie, i wpadała do naszej ciupy, tu zaś nie było się gdzie przed nią schować. Spało nas tam czterech pokotem, a izba była tak wązka, że piętami tykaliśmy jednej strony a głowami drugiej...

Usnąłem nareszcie po długiej i rozpaczliwej walce z coraz gwałtowniejszym przeciągiem i niezmiernie gorącą glinianką. Nad ranem było jeszcze zupełnie ciemno, gdy zbudził mię dziwny, miarowy łoskot; leżałem chwilkę cichutko, siląc się zrozumieć, skąd mógł pochodzić. Wyglądało to tak, jakby ogromny wąż tłukł się w kącie izby, lub ktoś... rozpakowywał nasze worki podróżne. Znów więc szturgnąłem zlekka w bok nieszczęśliwego ton-sę i spytałem, co to znaczy. Zapalił niezwłocznie światło i wówczas ujrzałem, nocującego razem z nami wędrowca, Korejczyka, jak w zupełnych ciemnościach plótł ze słomy dla siebie nowe chodaki. Daremnie ton-sa przekładał mu, że przeszkadza spać „zamorskiemu panu," Korejczyk twierdził, że chodaki mu się podarły, że na dworze słota, a on musi ruszyć dalej o świcie. Wreszcie na usilne prośby nas obu wziął lampkę i poszedł do kuchni. Był bardzo zadowolony z rozwiązania sprawy, gdyż zobowiązaliśmy się zapłacić za światło.

VIII. Pokarm. Rzeczka Kinnga. Klimat półwyspu.

Całą noc i cały ranek lał deszcz. W oczekiwaniu, aż się trochę przetrze, zamierzyłem narysować plan domu i poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia spiżarni oraz innych zakątków.

Kilkunastoletni syn gospodarza, z włosami zaplecionymi w warkocz, jak u dziewczyny, zaprowadził mię przedewszystkiem na małe podwórko po za kuchnią, gdzie pod wiklinowym płotem stał na płaskich kamieniach cały szereg wielkich garnków (chanari) z kwaszoną sałatą, rzodkwią, rzepą, oraz z mocno fermentującym zaczynem brunatnego bobu, zmielonego na mąkę, z którego w ten sposób wyrabiają soję (kam-dzan-i lub tho-dzan-i). Niektóre dzieże były tej wielkości, co chłopiec. W każdym domu można je znaleźć na małem, zaciasnem podwóreczku, stojące pod glinianemi pokrywami na otwartem powietrzu. Zieje od nich taki przykry i ostry zapach, że doprawdy nie wyobrażam sobie, jak go znieść mogą mieszkańcy, gdy w zimie, chroniąc zapasy od zamarznięcia, garnki wtaczają pod dach. W lamusach i w kuchni stały podobne, ogromne, gliniane dzieże (an-bak), pełne obłuskanego już ryżu, prosa, grochu, zamknięte szczelnie pokrywami. Ten wyborny sposób zabezpieczenia zapasów od wilgoci, zepsucia oraz szkodników znany jest na całym Blizkim i Dalekim Wschodzie. W Persyi i na Kaukazie nawet więźniów po wsiach trzymano w takich olbrzymich, wkopanych w ziemię garnkach.

Zboża spożywają Korejczycy przeważnie w postaci kasz rozmaitych; mąki używają bardzo mało, chleba po wsiach nie znają *), ciastka mdłe i kleiste wypiekają z krochmalu. W ciągu całej podróży zaledwie dwa razy widziałem małe, ręczne żarenka bardzo pierwotnej roboty. Mąkę otrzymują Korejczycy tłukąc ziarno w tych samych drewnianych stępach, w których otłukują krupę. Jedynie w Fuzanie znalazłem jeden młyn z kieratem, zdaje się, że japoński; tymczasem w Chinach młyny takie spotykają się na każdym kroku. Z mąki, prócz małych placuszków, gotowanych na parze, przyrządzają Korejczycy również makarony (kuksjui albo meni) — obie potrawy żywcem wzięte od Chińczyków.

Słabe zastosowanie mąki oraz niezwykła gorycz i ostrość przypraw czyni kuchnię korejską pokrewną japońskiej, choć skądinąd większość potraw oraz sposoby gotowania ich zapożyczone zostały całkowicie od Chińczyków. Przedewszystkiem Korejczycy narówni z Chińczykami jedzą wszystko, co się zjeść da, z wyjątkiem mleka i masła, których nie używają, nie lubią i któremi się brzydzą. Nie jedzą też kotów, lisów, łabędzi, czem się różnią od Chińczyków, ale psie mięso jest uważane, jak w Chinach, za przysmak; chowają Korejczycy dużo świń, kur, kaczek i spo-

*) Mają jednak nazwę dla pieczonego chleba — ttogi.

---

to szkaradne! Poczęło się nieco ściemniać, może deszcze na nich spadnie? Dobrze im tak! Ach, dopieroż będzie wyglądał cały ten jasny przepych letni!

Blady człowiek przesuwał się między mównicą, a jedną ze ścian bocznych — był to pastor Hermansen. Znałem go dobrze. Był on dawniej księdzem przy marynarce angielskiej; od owego czasu nosił czarne ubranie, zapięte szczelnie z białą oszywką koło szyi, jak się noszą księża reformowani i nigdy inaczej się nie ubierał. Obecnie nie zajmował żadnego urzędu w Chrystyanii, gdzie prowadził dzieło nawracania w szczególniejszy sposób, przeważnie na wzór angielski. Sporządził nawet kilka wielkich, płóciennych namiotów, w których miewał kazania; te namioty przenosił w najodleglejsze zakątki miasta, niekiedy wprost w miejsca niemożliwe. — W mieście jest bowiem wielu, którzy nie szukają słowa Bożego,musi więc słowo Boże ich szukać — utrzymywał. A taki był gorliwy w swej pracy około kościoła Bożego, że, choć bogobojny, jak sam katechizm, mimo to bywał niekiedy nieznośny. Przypominam sobie żartobliwe o nim wyrażenie kochanego profesora Caspari'ego: Tego człowieka powinno się osadzić — miał on na myśli osadzenie na jakimś urzędzie.

Ja też na swój sposób uważałem księdza Hermansena za nieznośnego. Miał on możność poznać się ze mną i wiedział, że jestem niezbyt mocny w wierze, to też ilekroć mnie zobaczył, przystępował chociażby to było w samym środku miasta i rozpoczynał rozmowę o mojej nieśmiertelnej duszy. Niezawsze miałem ochotę mówić z nim o tem, to też obchodziłem go zdaleka, ale ksiądz Hermansen był powołanym przez Pana i obejść go nie było tak łatwo.

Dziś już wygłosił dwa kazania. Teraz miał tu przemawiać. A wieczorem po odbytej uroczystości będzie odprawiał modlitwy w Stowarzyszeniu młodych rekrutów.

— Nie można twierdzić, aby bardzo głęboko w rzecz wnikał — mówił o nim Tyrolczyk, ale ma zapał, to mu trzeba przyznać.

Spojrzałem na bladego, otyłego księdza o twarzy świątobliwej, przezacnej. Tacy mogą życie brać poważnie.

A jednak ten sam człowiek krąży obecnie między uczestnikami i żartuje z nimi. Rozumiał on bowiem, że młodzi nie mogą odrazu wpaść w uroczysty nastrój. Trzymali się oni skupieni w zwartą gromadkę, jak gdyby przygotowani do obrony, a zdawało się, że onieśmiela ich sama ta sala ponura. Podchodził więc do nich od czasu do czasu, rozbawiał i ośmielał. Domyśliłem się tego, widząc uśmiechających się tych, z którymi rozmawiał.

Stowarzyszenie nie miało na celu nudzić członków, przeciwnie, w statucie wyraźnie było napisane, że młodzież ma się tu zbierać dla rozrywki i przyjemności, byle wszystko odbywało się w duchu chrześciańskim. Pracowano zapewne nad tem, aby ów paragraf o przyjemności i rozrywce nie był czczym wyrazem: odbywały się więc odczyty o rozmaitych przedmiotach, a ostatniego Bożego Narodzenia urządzono nawet choinkę dla członków. Ale dziś jakoś nie zdawało się, żeby zabawa miała się rozpocząć, choć ksiądz Hermansen czynił wyraźne usiłowania w tym kierunku.

Nikt więcej nie przyszedł, próżne było wpatrywanie się w drzwi: powoli wszystkie oczy zwróciły się ku bledemu mężczyźnie. Mógłby już zacząć. Spojrzał na zegarek, lecz wstrzymał się jeszcze chwilę. Chodził po pokoju coraz żywiej, zacierał tłuste ręce i spoglądał w pułap, jak gdyby stamtąd oczekiwał jakiej pomocy. Ale nie nadeszła. Więc jeszcze raz zasięgnął rady zegarka — co też i ja uczyniłem. Mój spóźniał się o 10—12 minut był już więc kwadrans na szóstą. Nie mogłem dociec na, co czeka.

Nareszcie!

Ksiądz Hermansen dał znak. Zamknięto drzwi. Szeroki strumień światła dziennego, który wpadał przez nie, zgasł i pociemniało w sali. Mały Hopen, stojący tuż pod

żywają je chętnie. Mięso wołowe uważane jest za zbytek, dostępny jedynie bogatym. Naogół jedzą o wiele więcej mięsa, niż Japończycy, zato mniej ryby, której nie umieją ani tak dobrze przyrządzać, ani nie znają tylu jej odmian. Podobnie jak Japończycy lubią surową rybę z ostrym, pieprznym sosem oraz surowe mięso zwierzęce, tłuszcz i wnętrzności, których nawet gotowanych większość Japończyków nie znosi. Gryzą łakomie i zjadają Korejczycy nawet cieńsze kości.

Przypuszczam, iż w tych upodobaniach mamy do czynienia z oszczędzonym przez czas i kulturę rysem dzikich plemion myśliwskich, przybyłych na półwysep z daleka, z Wschodniej Mandżuryi, a może aż z nad Amuru.

Po za tem są Korejczycy „ryżojadami" w większym nawet stopniu, niż Chińczycy. Jadają oni co najmniej trzy razy na dzień i za każdym razem spożywają co najmniej $^{2}/_{3}$ funta ryżu i o połowę mniej bobu, rzodkwi, rzepy, sałaty, kukurydzy, jęczmienia, prosa oraz innych warzyw i zbóż.

Aby dać pojęcie o pożywieniu prostego ludu i podaniu strawy, opiszę jeden z obiadów, jakimi karmiono nas stale po drodze w zajazdach.

Po półgodzinnem zwykle oczekiwaniu i wielkim ruchu w kuchni wnoszono do zajmowanej przez nas izby dwa niziutkie stoliczki-tacki, zupełnie podobne do japońskich. Na nich stały drewniane i fajansowe miseczki z kwaszonem warzywem, polanem sosem z pieprzu strączkowego, każdy gatunek osobno, dalej leżała na misce kupka jakiejś kwaszonej zieleniny, kawałek solonej ryby, stos drobniutkich, solonych raczków, przejrzystych i podobnych do krewetek, albo jakieś muszelki i grzybki. Lecz gwoździem wieczerzy zawsze była góra gotowanego ryżu, czasem zupełnie białego, wyśmienitego, niekiedy czerwonego i zmieszanego z bobem, zależnie od zamożności właściciela zajazdu oraz położenia wioski. W wioskach u głównego gościńca dawano nam lepiej jeść, w głuchych wioskach, zdala od drogi, dostawaliśmy więcej bobu i rzodkwi a mniej ryżu. Zamiast łyżek podawano nam pałeczki drewniane albo kościane. Mój ton-sa zaczynał zwykle od rzodkwi, poczem dziobał po kolei we wszystkich potrawach, zajadając suto każdą przekąskę ryżem. Inne potrawy widocznie służyły jedynie za przyprawę. Gdy ich nie stało, nalewał do ryżu gorącej wody, której misę obowiązkowo podawano do stołu i zjadał resztę, jako zupę. Jadł szybko, łapczywie, ryżu nieraz kazał sobie dodawać, co czyniono bez żadnego szemrania i dopłat. Parę głośnych westchnień z czkawką były dopiero znakiem, że sobie podjadł, poczem służąca zabierała naczynia. Takie obiady kosztowały nas od 10 do 15 kopiejek, zależnie od miejscowości. Za postoje i nocleg nic nie płaciliśmy, liczono nam jedynie „ryże" — tak w Korei zwą każdy sutszy posiłek.

To samo mniej więcej jadali chłopi, wyrobnicy, furmani, tragarze, których w podróży spotykałem przy posiłku, co zdarzało się nieraz, gdyż obiadują oni zwykle na dworze, na stołach obstawionych ławami, albo na przyzbach domów, wreszcie na klapach odrzuconych na ulicę u okien zajazdów.

Porównanie kuchni japońskiej, chińskiej i korejskiej raz jeszcze utwierdziło mię w przekonaniu, że Korea długi czas była tem cedzidłem, przez które nieustannie przesiąkały do Japonii rozmaite wpływy, wynalazki i obyczaje chińskie, z których Japończycy brali jednak tylko odpowiednie dla siebie i następnie, udoskonaliwszy je i przerobiwszy, zwracali z powrotem Korei. Stąd tu we wszystkich gałęziach życia dają się spostrzegać dziwne nawarstwienia i trudna dla zbadania mieszanina wpływów, zupełnie zacierających samoistne cechy tubylcze.

Poszedłem raz w Seulu do najlepszej jadłodajni korejskiej i zażądałem typowej, korejskiej wieczerzy. Prócz niezbędnego ryżu, kwaszonej rzodkwi, rzepy surowej oraz rozmaitych gorzko i pieprzno zaprawnych marynat z włoszczyzny, grzybów, raczków, morskich i leśnych porostów, liści, owadów, które już jadałem w rozmaitych kątach Wschodu, podano nam „starodawną potrawę" korejską, według zapewnienia towarzyszącego mi szlachcica korejskiego. Był to istotnie oryginalny bigos, składający się z bobu, fasoli, selerów, rzepy, kawałków mięsa i drobiu, w kostkę krajanych gruszek, włoskich orzechów, rodzynków, pistacyi i drobnego, zielonego owocu „yn-heu," którego „nie wolno rwać z drzewa i jeść temu, co to drzewo posadził." Potrawę podano nam w naczyniu podobnem do małego, ładnego samowarka, w którego odwróconej pokrywie nad parą gotowały się zmieszane przysmaki. Służący co chwila dorzucał zarzewia do małego kominka, tkwiącego wśród kipiącego naczynia, a ja starałem się wniknąć w smak tej „prawdziwie korejskiej" potrawy. Okazała się wcale niezłą i nawet z jej powodu poczęło kiełkować w mym umyśle przypuszczenie samodzielnego, zepsutego przez Japończyków i Chińczyków smaku korejskiego, gdy w parę miesięcy potem w Szanhaju Chińczyk, rodem z Kantonu, obiecawszy uraczyć mię „prawdziwie kantońską" potrawą, kazał podać jota w jotę taki sam słodki bigos i w podobnem nawet naczyniu.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ubóstwo myśli.

Coraz częściej mówi się u nas o jakiejś zmianie w dziedzinie życia umysłowego; coraz częściej spotykamy się z twierdzeniem, że obecnie można zauważyć zwrot pewien ku lepszemu. Pozory potakują temu mniemaniu: wiele się u nas rozprawia o kwestyach artystycznych, społecznych, nawet kwestye naukowe poczynają wchodzić w modę. Nowe teorye i rezultaty badań dochodzą do nas z zachodu z znacznie mniejszem opóźnieniem, niż dawniej, jednem słowem — zmiana. Coraz więcej wychodzi pism, tygodników, nakładających na siebie wiele obiecujące określenie postępowe. W dziennikach pojawiają się fejletony o sprawach bieżących i kwestyach naukowych, pisane coprawda z lekkością, dochodzącą do zatarcia wszelkiego elementu myślowego; krytyków liczebnie mamy coraz więcej, naturalnie przeważnie literackich, bo do literatury, a w najnowszych czasach i sztuki każdy rości sobie pretensyę, uważając ją za rzecz... do wszystkiego, niewymagającą żadnego przygotowania. Jak przed laty z poezyami, później z nowelkami, tak dzisiaj przez każ-

---

mównicą z miną urzędową, podszedł do śpiewackiej drużyny. A więc on, ten mały szewczyna, który łatał moje buty ostatnim razem, on z tą małą, okrągłą, nalaną, bladą, wypełzłą twarzą, był, jak się okazało, kierownikiem chóru! Dał znak pałeczką, szepnął coś... i zabrzmiał psalm.

W napół pustej sali rozlegał się głos bardzo silnie.

Śpiewali ostatnie wiersze, gdy ksiądz Hermansen wszedł na mównicę i złożył ręce.

Chwilę utopił oczy w suficie. Pociemniało jeszcze bardziej, kilka kropel deszczu spadło cicho, jak gdyby niechętnie na wązkie szybki.

Ksiądz rozpoczął modlitwą, w której prosił, aby nam dane było poznać siebie samych i nasze wielkie grzechy, abyśmy wysławiali Pana naszego we wszystkiem, cokolwiek przedsiębierzemy, abyśmy każdej chwili, w pracy, a niemniej też i w czasie odpoczynku mogli być pewni i bezpieczni od świata tego i jego pokus — abyśmy nakoniec pod opieką Pana odbyli tę dzisiejszą uroczystość.

Po tych słowach przeszedł do porządku dziennego. Dał przegląd tego, co zdziałano w Towarzystwie, zwłaszcza w ostatnim roku; tu miał sposobność rozwieść się szeroko o pięknych celach Towarzystwa. Mówił akcentem bergenskim — był to właściwie raczej śpiew, niż mowa.

Miasto poczyna się rozrastać — rzekł — a zło wciska się wszędzie. Grzech czyha na nas z każdego rogu ulicy. Zwłaszcza niebezpieczeństwo grozi młodym, którzy przybywają z małych miast lub ze wsi, a którzy muszą sami o sobie myśleć w tem dużem mieście, pozbawieni nawet takiej pomocy, jaką i najuboższy dom stanowić może. Dlatego to Pan Bóg, przejętym chrześciańskim duchem i dbałym o zbawienie ludu mężom, nasunął myśl założenia stowarzyszenia, w którem mogliby się młodzi schodzić w wolnych chwilach, gdzieby ich przygarnięto, udzielono rad i wskazówek, gdzie mogliby znaleźć towarzystwo, a niekiedy usłyszeć słowo Boże—słowem stowarzyszenia, które byłyby dla nich rodzajem domu rodzinnego, zabezpieczającego ich, o ile możności, przed wielkiem miastem ze wszystkiemi jego pokusami i niebezpieczeństwami.

-- Prawdą jest — ciągnął dalej — że Towarzystwo nie może dużo zdziałać, bardzo wielu bowiem woli chodzić własnemi drogami i podobnie, jak ów syn marnotrawny, marnować zdolności w nieporządnem życiu. Ale gdy rozejrzymy się w tem, co w roku minionym zrobiono na ogół i poszczególnie, możemy powiedzieć, że towarzystwo za przyczynieniem się Pańskiem działało — chociaż cicho i powoli — ale skutecznie.

Zakończył krótką modlitwą: abyśmy nauczyli się znać siebie samych i swoje własne słabości; abyśmy nauczyli się dziękować Bogu każdym naszym czynem, aby On szczególniejszą opieką otaczał młodych chłopców, chroniąc ich przed pokusami i niebezpieczeństwami wielkiego miasta.

Blady i piękny, prosty, jak świeca, stał na podniesieniu ten po samą szyję zapięty mężczyzna i modlił się.

Na dworze deszcz padał. Lekko i miękko dzwoniły drobne krople o szyby: była to niby odpowiedź z góry — przepowiednia błogosławieństwa i urodzaju.

Mówca powiedział amen — i zszedł.

Poczem odezwał się znów chór:

Boże, błogosław nam króla
użycz mu do walki męztwa itd.

Nie bardzo to było odpowiednie.

Ale widocznie nietylko sprawy religijne uprawiano w tem stowarzyszeniu — nic ludzkiego nie powino było być obcem członkom, jedynie politykę wyłączono ze względu na spokój.

Po tej pieśni o królu nastąpiła cisza. Poczem znowu prześpiewano coś krótkiego.

(D. n.)

Przeł. z norw. *J. Klemensiewiczowa.*

gą redakcyę przesuwa się stale szereg aspirantów do krytyki literackiej. Entuzyaści tej niby wielkiej odmiany w umysłowości naszej przytaczają, jako najważniejszy jej dowód, istnienie niezależnych, oryginalnych talentów twórczych w sferze poezyi, czy plastyki. Argument poważny. Nie można zaprzeczyć coraz większego wpływu tych czynników na poziom ogólny, lecz trud ten dopiero się rozpoczyna i rzecz nader przedwczesna utrzymywać, że jakaś zmiana w tym względzie już zaszła. Zresztą sztuka nie wyczerpuje całego życia. Niektóre objawy zewnętrzne, mające świadczyć o zmianie w umysłowości ogółu, nie są pozbawione głębszego znaczenia. Sądzę jednak, że w pochopnej radości z tego powodu sporo jest pośpiechu i przesady, a przedewszystkiem zwykłej naszej zdolności do zachwycania się pianą bez patrzenia w istotną głąb. Fakty, mające świadczyć o wznoszeniu się naszego ogółu na wyższy stopień kultury, albo należą do sfery pojedyńczych jednostek, lub tylko w niepewnym zarysie dadzą się sprowadzić do zjawisk z psychologii ogółu, jako zbiorowiska jednostek. Są one dotychczas, jak piana, z której o niczem nie można wnioskować.

Mówimy obecnie o umysłowości ogółu. Fakty z dziedziny psychiki jednostek ważne tu są o tyle, o ile ciekawem zjawiskiem jest odbicie się dzieł-czynów pojedyńczych ludzi, będących punktami wytycznymi kultury w zbiorowej umysłowości ogółu i zmian, jakie one wywołały, czy wywołują. Spojrzyjmy uważniej i głębiej na tak zwane nasze życie umysłowe. Weźmy np. naukę, jej przedstawicieli i ogół. Zdolnych ludzi nam nie brak, tylko oni, pomimo istnienia polskich instytucyi naukowych, muszą zarabiać na utrzymanie dawaniem lekcyi, czy to prywatnie, czy w średnich zakładach naukowych, pracą w biurach, w redakcyach itd.; a to nadaje ton ogólny ich zajęciom naukowym; pozbawieni niezbędnych środków pomocniczych: laboratoryów, książek, zbiorów, możności spokojnego prowadzenia studyów, pracują dorywczo, pospiesznie. Po za tem rezultat badań naukowych pozostaje bez żywszego wpływu na to nasze życie umysłowe. Niezmiernie mało u nas, wśród szerszego ogółu ludzi miłujących naukę, ciekawych jej badań i dociekań; mało mózgów, któreby łaknęły strawy właściwej, mało czytających dzieła, czy pisma naukowe. A i ta niesłychanie mała garstka ludzi, używa dzieł cudzoziemskich, z któremi uczeni nasi, wskutek tak nieprzychylnych warunków, konkurować nie mogą. Prócz tego są jeszcze inne okoliczności znamienne nietylko dla nauki, lecz i dla całości życia u nas. Tą cechą charakterystyczną jest powszechne ubóstwo myśli (mówię tu o całości, nie o pojedyńczych jednostkach). Myśl nasza pomimo wszelkich pozorów obraca się dotychczas w ciasnem kole formułek, stworzonych przez lenistwo mózgu do samodzielnej pracy, przez właściwą mu niezwykłą zgrabność w podchwytywaniu gotowych rozwiązań i ujmowaniu ich z jak najpłytszej strony. Niema u nas powagi myślenia, niema wyszkolenia w kierunku nieprzyjmowania na wiarę słów cudzych — prawd czy haseł, bez objęcia ich własnym krytycyzmem i samodzielnego „przemyślenia.“ Nie mamy wytrwałości myśli. Mózgi nasze dziwnie prędko się męczą i korzystają z każdego pretekstu, by uniknąć trudu nad siły i schronić się za wypracowane przez innych pewniki. Ta bezczynność indywidualnej pracy myślowej była przyczyną zachwaszczenia umysłów przez różne rośliny pasożytne, jak: zabytki przeszłości, spłowiałe i pozbawione wszelkiej żywej treści, anachronizmy z doby dość odległej, dziwactwa, utworzone z uganiania się za płytką sensacyą i pokarmem najłatwiej i najlżej strawnym.

Skutkiem tego wszystkiego jest nadzwyczajna nieudolność do abstrakcyjnego myślenia; ta ogólna nasza cecha nie jest następstwem wielkiej artystyczności naszych umysłów, wypowiadającej się w obrazowem myśleniu; tej zdolności nie rozwinęliśmy zbyt silnie. Nauki filozoficzne nigdy u nas wysoko nie stały. Dziś, pomimo wysiłku jednostek, przejętych szlachetną wiarą w nadzwyczajną doniosłość tej sprawy, są też dla nas ziemią nieznaną. Kwestyami temi nie zajmujemy się wcale, czego najbliższym choćby skutkiem jest fakt, że nigdzie tak, jak u nas, nie manewruje się pojęciami bez poddania ich treści krytycznemu oświetleniu. Pod względem zdolności do myślenia abstrakcyjnego i umiłowania zagadnień treści filozoficznej stoimy chyba w ostatnim rzędzie narodów cywilizowanych.

Ta ogromna wada daje się odczuć na każdym kroku, za przykład posłużyć może każda polemika, choćby niedawna potyczka o znaczenie krytyki. U znacznej większości tych, co się odzywają, brak pogłębienia myślowego, natomiast uderza czepianie się drobnych, zewnętrznych zjawisk i uważanie ich za całość zagadnienia. To samo da się powiedzieć o sprawozdaniach malarskich, a jeszcze bardziej muzycznych. Wogóle w kwestyi pojmowania spraw, dotyczących psychiki masy, artykuły dziennikarskie są dokumentami niezwykle ważnymi i ciekawymi. Piszący je, nie są mózgami wyszkolonymi, wyspecyalizowanymi, lecz przeważnie ludźmi, wypadkowo zajmującymi się piórem, jednostkami przeciętnemi i dlatego tak niezwykle w tym razie interesującemi. To, co znajdujemy w ich artykułach, jest kinematografem duszy ogółu. Oni też przedstawiają najjaskrawiej nasze ubóstwo myśli. Nawet wśród ludzi, nieco wyżej stojących pod względem umysłowym, zauważyć można to samo; charakterystycznem w tym względzie jest stałe i chroniczne utyskiwanie kierowników pism poważniejszych na brak współpracowników w dziedzinach po za literaturą i sztuką. Tu nie można poprzestać na przytoczeniu i powiązaniu paru faktów, jak to u nas się czyni w artykułach pseudo-artystyczno-literackich; niezbędne jest myślowe ich objęcie, własny światopogląd, własny system pojęć i dlatego — brak współpracowników.

Ubóstwo myśli, brak powagi i pogłębienia w pracy mózgowej pociąga za sobą smutne następstwa, ogarniające cały stan kulturalny; wypalając piętno na wszelkich stronach życia, nie pozwala ono zbyt dowierzać zachwytom nad zmianą stanu umysłowości naszego ogółu. Praca myśli, to główna ostoja życia duchowego, a więc i całokształtu istnienia. Ona tworzy i kształtuje zarówno abstrakcyę-naukę, jak i uczucie-sztukę. Ona pogłębia życie, zbliża nas do tajemnic bytu, zapewnia nam samodzielność rozwoju własnej indywidualności i wyrywa z biernej igraszki sił nieznanych, stawiając człowieka naprzeciw przygniatającej potęgi, jako siłę świadomą siebie. Praca myśli, to główny skarb ducha i dlatego tam, gdzie ona niknie i przemienia się w zegarkowe obracanie się w kółku pewnych nielicznych pojęć, tam za bezmyślnością idzie i pełzanie przy ziemi.

Ubóstwo myśli wywiera swój wpływ nietylko na najbliższą może na pierwszy rzut oka sferę nauki; odbija się ono na wszystkiem, co idzie z duszy człowieka. Weźmy sztukę. Ogół nasz nie odczuwa twórców. Wskutek suggestyi, wywieranej przez bardzo nielicznych krytyków, czy też bezpośredniego uroku nowego piękna, „Młoda Polska“ w zakresie twórczości stała się modną. Lecz jaźń ogółu zmieniła się bardzo mało; z powodu ubóstwa myśli brak gruntu do przyjęcia się nowych prądów. Toż samo w dziedzinie życia społecznego — taż sama barania odporność na wszelkie nowe hasła.

Nie zapominam bynajmniej o ogólnem prawie konserwatyzmu masy w porównaniu z poczynaniami jednostek. Lecz u nas ten konserwatyzm przybrał wyjątkowo zatrważające rozmiary, grożąc zasypaniem nowo-powstającemu ożywieniu, jakie się bez zaprzeczenia daje zauważyć w sferze prądów społecznych i artystyczno-literackich. Ogólne niebezpieczeństwo — ubóstwo myśli. Ono zabarwia wszystko, nadaje ton umysłowości naszej. Dlatego należy zwrócić baczną uwagę na to zjawisko i goraco, z zapałem wziąć się do budzenia z uśpienia. Pisząc o tem, nie roszczę bynajmniej pretensyi do oryginalności poglądu, do wygłaszania tego, czego jeszcze nikt nie powiedział. Mniemam tylko, że wobec rzeczywiście dającego się zauważyć żywszego poruszenia, nie należy oddawać się przedwczesnej radości, lecz zająć się pilnie tem tłem życia naszego, bo taki moment to najlepsza sposobność do budzenia z apatyi i letargu, wywołując nieco żywsze pulsowanie krwi mózgu zbiorowego.

br.

LISTY GALICYJSKIE.

Zwrot w działalności Towarzystwa szkoły ludowej. — Zjazd grona konserwatorów. — Ossolineum. — Akademia Umiejętności. — Spółki wydawnicze.

Nie ulega wątpliwości, że jedną z najbardziej pożytecznych instytucyj kulturalnych Galicyi jest Towarzystwo szkoły ludowej. Walka z analfabetyzmem, obrona mniejszości polskich, zagrożonych w swem istnieniu na kresach, podnoszenie poziomu kulturalnego mas za pomocą tworzenia czytelń itd. — wszystko to są hasła tak popularne, a zarazem sympatyczne, że nic dziwnego, iż Towarzystwo zdobyło w ciągu niecałych 10 lat istnienia 20 kilka tysięcy członków i rozwinęło bardzo szeroką działalność. Towarzystwo cieszyło się powszechną niemal sympatyą, gdyż nawet oligarchia stańczykowska nie ważyła się przeciwko niemu występować, i tylko ciemny kler gdzieniegdzie na prowincyi rzucał klątwy na działaczy Szkoły Ludowej. Co dziwniejsze, Towarzystwo aż do niedawna potrafiło uchronić się od politykowania w myśl programu którejkolwiek z partyj istniejących. W łonie jego spotykali się ludowcy ze zwolennikami *Naprzodu*, demokraci galicyjscy z ludźmi o dość konserwatywnych poglądach, nie brakło nawet wśród pracowników Szkoły Ludowej księży. Niestety, od dwóch mniej więcej lat stosunki wewnętrzne zrzeszonych poczynają ulegać dość szybkiej przemianie. Narodowi demokraci, opanowawszy poszczególne koła Towarzystwa, zwłaszcza w Galicyi Wschodniej, poczęli nadawać ich działalności charakter polityczny. Jednocześnie środek ciężkości pracy koła został przeniesiony na Ruś z zaniedbaniem kresów zachodnich, wystawionych na wielkie niebezpieczeństwo czechizacyi i może nie mniejsze zniemczenia. Niedość na tem, narodowi demokraci, poczuwszy się na siłach, wnieśli do Towarzystwa cechującą ich nietolerancyę względem wszelkich objawów myśli postępowej i wpływy klerykalne. Do czytelni, znajdujących się pod kierownictwem demokratów narodowych, poczęły przenikać wydawnictwa, nic wspólnego z oświatą niemające. W miarę wzrastania wpływów narodowo-demokratycznych rozpoczęło się teroryzowanie żywiołów postępowych, usuwanie z czytelń wydawnictw antiklerykalnych itd. Już przed dwoma laty antagonizm prawego i lewego skrzydła

działaczów Szkoły Ludowej dał się wyraźnie odczuć na walnem zgromadzeniu, ale do otwartej walki doszło dopiero w tym roku, na zjeździe podczas Zielonych Świąt. Kiedy przedstawiciele postępowej mniejszości, pp. W. Feldman i poseł Stapiński, wystąpili z krytyką działalności demokratów narodowych, chciano ich zakrzyczeć. Mówcom opozycyjnym, krytykującym działalność tych kół Towarzystwa, któremi zarządzają demokraci narodowi, nie pozwalano poprostu mówić. Wybory do zarządu skończyły się zwycięztwem demokratów narodowych, co stanowi poważne niebezpieczeństwo dla Towarzystwa, gdyż cały jego kierunek może być spaczony. Z instytucyi czysto kulturalnej przekształci się ono niewątpliwie na narzędzie polityczne w ręku konserwatywno-klerykalnych czynników, czem już obecnie są niektóre koła na Rusi, gdzie w czytelniach i w całej robocie Towarzystwa rej wodzą naganiacze „centralnego komitetu do rozbojów wyborczych.“ Zamiast podźwignięcia kultury mas, hasłem zdobytego przez demokratów narodowych Towarzystwa będzie, jak się wyraził jeden z delegatów narodowo-demokratycznych na zjeździe w Krakowie—„walka na noże z Rusinami“ w interesie wielkiej własności i kleru.

Jest wielce prawdopodobnem, że znaczna część członków i kół Towarzystwa Szkoły Ludowej wyodrębni się w oddzielną całość ku specyalnej obronie kresów zachodnich, zwłaszcza Śląska.

Jednocześnie z walnem zgromadzeniem Towarzystwa Szkoły Ludowej w Przemyślu odbywał się zjazd grona konserwatorów Galicyi zachodniej i wschodniej oraz korespondentów krajowych komisyi centralnej w Wiedniu, dbającej o przechowywanie zabytków starożytności. W zjeździe wzięło udział około 40 uczonych, którzy zebrali się głównie w celu obmyślenia środków ratowania od zagłady zabytków historycznych i dzieł sztuki. Z pomiędzy wygłoszonych tu referatów na specyalną uwagę zasługiwała obszerna praca dr. A. Czołowskiego ze Lwowa, zatytułowana: „Jak giną nasze zabytki.“ Referent, posługując się mnóstwem przykładów, wykazał wandalizm, z jakim dawniej rząd austryacki obchodził się z naszymi zabytkami historycznymi. W ostatniej ćwierci XVIII wieku rząd, potem lekkomyślna generacya z pierwszej połowy XIX w., a w końcu nieświadomość i zła wola czynników miarodajnych, patrzących obojętnie na zniszczenie, dokonywane przez czas i rozdrapujących amatorów oraz zagranicznych agentów — wszystko to pozbawiło Galicyę niezmiernej ilości rzeczy cennych dla historyi naszej kultury. Referent zwrócił uwagę na to, że się obecnie bezprawnie rozkopuje mogiły przedhistoryczne, przebudowuje zabytki architektury, podkreślił zwłaszcza niszczenie starożytnych cerkwi drewnianych we wschodniej części kraju, gdzie mania nowatorstwa wraz ze względami natury politycznej ogromne przynoszą szkody.

Drugi referent, dr. St. Tomkowicz, mówił o reformie opieki nad zabytkami, przyczem postawił dwa wnioski: 1) Zjazd uznaje, że bez ustawy konserwatorskiej skuteczna ochrona zabytków nie jest możliwa, oświadcza się za jak najrychlejszem wprowadzeniem do Przedlitawii takiej ustawy w życie i poleca komisyi, która ma być wybrana w tym celu, poczynienie odpowiednich kroków za pośrednictwem Koła polskiego w Radzie państwa. 2) Zebrani na zjazd konserwatorowie i korespondenci komisyi centralnej uchwalają czynić starania o przyspieszenie w Galicyi spisu zabytków w duchu zamierzonej przez komitet centralny ustawy. Oba te wnioski zostały uchwalone.

Po za tymi dwoma referatami wygłoszono jeszcze parę pomniejszych: w sprawie zabytków archiwalnych mniejszych miast i miasteczek Galicyi (dr. Estreicher) i o konserwacyi obrazów kościelnych. W szerokiej dyskusyi wszyscy przyszli do wniosku: że konieczna jest ustawowa ochrona zabytków; że należy dotychczasowe okręgi konserwatorskie podzielić na mniejsze, gdyż przy teraźniejszym podziale praca konserwatorska jest niesłychanie utrudniona; wreszcie że trzeba umieścić zabytki municypalne i miejskie w miejscach zabezpieczonych od pożaru.

Nadmienić warto, iż świeżo, podczas strasznego pożaru w Delatynie poszło z dymem z górą 10,000 starych akt, złożonych w archiwum zarządu leśnego. Nieszczęście chciało, że w celu projektowanego wywiezienia do Lwowa zebrano tam i złożono olbrzymią ilość dokumentów najróżnorodniejszych, sięgających XV wieku. Nie pierwszy to i zapewne nie ostatni wypadek tego rodzaju, że stare, cenne papiery zamiast być zebrane w jakiemś muzeum, butwieją po strychach magistratów, aż w końcu idą z dymem.

Niedawno ukazało się sprawozdanie kuratoryum zakładu naukowego imienia Ossolińskich za ubiegłe dwa lata. Zakład posiada obecnie 113,810 dzieł unikatów, 12,400 dubletów, 2,040 atlasów i map, 4,505 rękopisów, 3,022 autografów, 27,605 rycin, 917 obrazów, 673 okazów zbroi oraz 2,484 innych rzeczy muzealnych. Inwentarz monet nowoczesnych, średniowiecznych i starożytnych wykazuje 17,170 okazów, zbiór medali składa się z 4,278 sztuk. Z pracowni naukowej korzystało 9,222 osób. Do czytelni dla młodzieży uczęszczało 13,327 osób. Muzeum zwiedziło 2,313 osób, pomiędzy któremi 110 dla studyów poważnych w zakresie archeologii i sztuki. Zbiory Ossolineum powiększyły się znakomicie hojną ofiarą p. Nargielewiczowej z Litwy, która podarowała mu bibliotekę z 11,040 tomów i kilkudziesięciu atlasów.

Najpoważniejsza nasza instytucya naukowa, krakowska Akademia Umiejętności, świeżo otrzymała znowu hojny zasiłek. Mianowicie państwo Feliksowie Sobańscy dali na cele działalności Akademii 100,000 koron. Zasiłek ten przyszedł w samą porę, gdyż Akademia przystępuje właśnie do kilku przedsięwzięć wydawniczych na wielką skalę. Chodzi przedewszystkiem o krytyczne wydanie ustaw polskich, począwszy od XV w., następnie o „Słownik staropolski“ i w końcu o „Encyklopedyę rzeczy polskich.“ Wszystko to wymaga bardzo znacznych środków. Na uroczystem, dorocznem posiedzeniu Akademii, które się odbyło niedawno, stwierdzono, że dawna niechęć i obojętność dla działalności tego ciała naukowego powoli ustępuje, czego dowodzi chociażby zawiązujące się obecnie z inicyatywy osób prywatnych Towarzystwo zbierania funduszów na badania historyczne Akademii.

Funduszów tych potrzeba coraz więcej, gdyż działalność Akademii z natury rzeczy musi się rozszerzać coraz bardziej. Oto np. uchwalono uczcić jubileusz Mikołaja Reja zjazdem historyczno-literackim, poświęconym epoce rejowskiej, wzorowem wydaniem krytycznem „Zwierciadła“ i monografią Reja, opracowaną przez prof. A. Brücknera. „Encyklopedya rzeczy polskich,“ nad której układem i rozdziałem materyału między poszczególnych pracowników obraduje specyalna komisya, też pochłonie dużo środków. Niemało kosztuje wydawnictwo „Ubiorów ludu polskiego,“ rozpoczęte niedawno, nie wspominając już o wszystkich innych, zwykłych publikacyach Akademii, zawierających rozprawy z różnych dziedzin wiedzy.

Akademia Umiejętności znalazła się w tym roku w prawdziwym kłopocie z powodu przyznania nagrody z fundacyi Probusa Barczewskiego, gdyż rok ubiegły odznaczył się na polu naszej produkcyi naukowej wyjątkową płodnością. Trudnem było zwłaszcza rozstrzygnięcie co do dzieł historycznych. Wzięto w końcu pod rozwagę trzy najlepsze, zdaniem komisyi, dzieła, mianowicie „Dzieje literatury polskiej“ Brücknera, „Sztuka ludowa w Polsce“ K. Mokłowskiego i „Dzieje wychowania i szkół w Polsce“ M. Karbowiaka. Jakkolwiek wszystkie one najzupełniej odpowiadały warunkom wymaganym, to jednak komisya, mając prawo udzielenia nagrody tylko za jedną pracę, wyróżniła dzieło prof. Brücknera, wieńcząc jednocześnie całą jego działalność historyczno-literacką.

Z zakresu malarstwa w roku ubiegłym zjawiło się również sporo rzeczy wybitnych, z pomiędzy których Akademia wybrała portret własny Wyczółkowskiego.

Ruch wydawniczy w Galicyi wzrasta coraz bardziej. Oprócz znanych z ruchliwości firm księgarskich na scenę występują w ostatnich czasach stowarzyszenia udziałowe w charakterze spółek wydawniczych. Po za dawniej istniejącą spółką wydawniczą w Krakowie, o charakterze działalności konserwatywnym, w ciągu kilku lat ostatnich powstały dwie takie spółki we Lwowie. Jedna z nich, „Towarzystwo wydawnicze,“ puściła już w świat sporo rzeczy cennych i mniej wartościowych, wydając bez żadnego planu, przeważnie beletrystykę i prace publicystyczne (kierunku narodowo-demokratycznego) Istniejące od dwóch lat „Towarzystwo nakładowe,“ o kierunku skrajnie-postępowym, przyswoiło literaturze naszej parę rzeczy z niemieckiej, rewizyonistycznej i wydało dwa dzieła oryginalne bardzo małej wartości (pp. Marchlewskiego i Kulczyckiego), cenne, choć tendencyjne dzieło o ruchu komunalistycznym we Francyi St. Mendelsona i kilka tłomaczeń tak okropnych, że poprostu niepodobna z nich korzystać. W ten sposób wydano „Nową naukę o państwie“ Mengera oraz rzecz skierowaną przeciwko Japonii i Japończykom, Dumolarda. Obecnie powstaje nowa spółka nakładowa o charakterze postępowym — „Książka,“ zakreślająca sobie szeroką działalność wydawniczą.

Daleki.

Obrazy z kobiecych domów poprawy.

Od pewnego czasu coraz częściej czytamy w pismach berlińskich, że dziewczętom, które z powodu niemoralnego prowadzenia zamknięto w t. zw. „Magdalenen-Hauser,“ udało się mimo czujnej straży zbiedz napowrót w zaułki wielkomiejskie. „Pokutujące Magdaleny“ dokonywają zwykle tej ucieczki gromadnie. Porozumiawszy się co do sposobu, ułożywszy dokładnie plan, wydostają się na wolność i grzęzną w rozpuście, z której starano się je wydobyć. Wobec tego nasunąć musi się pytanie: czy przyczyna ucieczki nie tkwi w systemie wychowawczym zakładów poprawczych? czy możliwość przeobrażenia skłonności „upadłej“ ofiary stosunków społecznych drogą oddziaływania umoralniającego nie jest złudzeniem?

Pastor Isenmeyer, założyciel szeregu kolonij robotnic, rekrutujących się ze sfer kobiet... wyrzuconych po za nawias społeczeństwa, następnie jednak „odratowanych,“ wydał szereg protokółów, w których nakreślił ewolucyę życiową swych wychowanic. W dziele tem p. t. *Bilder aus dem Frauenheim* nie podaje nic więcej nad krótkie biografie kilkuset typów kobiecych. Pastor Isenmeyer żadnych wniosków nie wyciągnął z obfitego materyału statystycznego, który w ciągu lat nagromadził. Śledził pilnie zmiany, zachodzące między przeszłością Magdalenek a ich teraźniej-

szością, notował każdy przejaw dodatni i ujemny, protokółował wszystko, co zauważyć zdołał. Wskutek tego dzieło jego posiada cechy nie rozprawy teoretycznej na ogólnikach i uogólnieniach opartej, lecz dokumentu z życia czerpiącego swe podstawy.

Kilka takich biografij niech posłuży dla przykładu.

Nr. 16:

„... rel. ewang., lat 23, sierota, przewędrowała już większą część północnych Niemiec, zarabiając na utrzymanie żebraniną i prostytucyą. Do służby często się najmowała, lecz wkrótce ją porzucała. Umysłowo mało rozwinięta, wyraz twarzy głupi i zmysłowość wielka. Cztery razy karana za żebraninę, włóczęgostwo i niemoralność aresztem, wynoszącym sumarycznie 15 miesięcy. Z aresztu dostała się do naszego przytułku, skąd jednak uciekała wielokrotnie po najmniejszem starciu z organami nadzorującymi. Obecnie przesiaduje znowu w areszcie; niedawno temu błagała, aby ją po odsiedzeniu kary oddano napowrót do przytułku. Nie może być przyjętą do tego rodzaju zakładu, nie powinna się znajdować w zakładzie karnym, lecz w domu waryatów, jako umysłowo chora."

Nr. 19:

„... rel. luter., lat 19, nieślubne dziecko pijaka i prostytutki, osoba niezwykle zmysłowa; już jako dziecko prowadziła żywot niemoralny; po konfirmacyi namiętność jej dochodziła do tego, że budziła publiczne zgorszenie; na podstawie doniesienia uwięziona przez sąd powiatowy, z powodu braku dowodów od kary uwolniona, skazana jednak na przymusowe wychowanie w przytułku. Osoba ta odznacza się zamkniętym charakterem i wielce walczyć musi ze złymi popędami.

Nr. 20:

„... rel kat., lat 19, dziecko nieślubne; w domu stale ją głodzono. Często musiała nocować pod gołem niebem. Fizycznie mało rozwinięta, umysłowo ogromnie zaniedbana; nie umiała ani czytać, ani pisać, ani szyć, kiedy się do nas dostała. Wyglądała wówczas, jak dziesięcioletnie dziecko, mimo że liczyła już lat 18.

Nr. 23:

„... rel. luter., lat 19; rodzice żyją w separacyi; matka ją już jako dziecko stręczyła marynarzom; umysłowo tępa, uparta i leniwa; przybyła do nas z zakładu karnego, gdzie za kradzież przesiedziała sześć tygodni. W przytułku mało się zmieniła.

Nr. 31:

„... rel. luter., lat 16, w dzieciństwie osierociała, od dziewiątego roku życia przebywa pod opieką przymusową. W zapiskach policyjnych określona jako lekkoduch, obojętna na oddziaływania moralne, nieposłuszna, kłamliwa. Od czasu do czasu podlega skrusze, stara się poprawić, wkrótce jednak popada w dawne błędy. W czternastym roku życia zawiązała stosunek miłosny, włóczyła się po szynkowniach i salach tanecznych, przechodziła z rąk do rąk. U dziewczyny tej zauważyć się daje niewątpliwe, wrodzone niedomaganie moralne: pozostawiona sama sobie bezmyślnieje, błędnym wzrokiem wodzi po otoczeniu; namiętnie musi walczyć ze zmysłowością. Na każdy rozkaz odpowiada grymasem twarzy, wprędce jednak opamiętywa się i polecenie wykonuje. Przy pracy podlega często nagłemu osłabieniu, mającemu swe źródło w jej naturze przezmysłowionej.

Nr. 66:

„... lat 24, w najwyższym stopniu umysłowo nierozwinięta; dawniej była pod kontrolą policyjną; kilkakrotnie karana aresztem. Unosi się często tak żywiołowym gniewem, że wówczas niszczy wszystko, co jej pod rękę wpadnie. Namiętność i temperament nadzwyczajne. Dotychczas mały wpływ otoczenia.

Nr. 196:

„... rel. mojż., lat 18, córka handlarza drobiu; matkę straciła przed siedmiu laty. Przebywała w wielu żydowskich zakładach wychowawczych. Nie można jej było nakłonić do żadnej pracy; była z natury bezczelną i kłamliwą. Ojciec i rodzeństwo nie lubili jej wskutek tego i na każdym kroku dokuczali. Nie rozumiano tu oczywiście, że przyczyną jej usposobienia w znacznej części jest choroba umysłowa. Odkąd przebywa w przytułku, nie zmieniła się. Nie można rozróżnić, czy choroba, czy zepsucie, czy wreszcie jedno i drugie jest powodem jej postępków. Wkrótce zostanie przewieziona do domu waryatów.

Wreszcie sylwetka ostatnia:

„Przed dziesięciu laty — pisze p. Isenmeyer — przyszła do mnie młoda, silna dziewczyna i prosiła o przyjęcie. Opowiedziała mi swą biografię: Jako nieślubne dziecko nie znała nigdy swego ojca. Matka wyszła za mąż za człowieka, który i ją przyjął do swego domu. Miłości rodzicielskiej nigdy nie zaznała. Wcześnie rozpoczęła służbę po obcych domach, długo się jednak na jednem miejscu utrzymać nie mogła. Wypędzona z domu rodziców, którzy się jej zupełnie wyrzekli, oddała się lekkiemu zarobkowaniu. Dostała się za kradzież do więzienia, stąd droga powiodła do domu zepsucia. W 17 roku życia została matką. Wreszcie przyszła do naszego przytułku. Okazała się nadzwyczaj pilną, wesołą i wdzięczną. Po kwartale zmieniła się do niepoznania: stała się opryskliwą, krnąbrną, przestała pracować. Na pytania odpowiadała wielokrotnie: „Mam w sobie niepokój, który mię dniem i nocą trapi; pójdę w świat, gdzie mię oczy poniosą. Głos wewnętrzny powiada mi, że dla mnie niema więcej spokoju." Odtąd okazywać się poczęły coraz wyraźniej objawy choroby umysłowej. Odwieziono ją do zakładu dla chorych psychicznie w Hanowerze; i kogo tam znalazła? Własną matkę, którą po przebyciu analogicznych objawów w zakładzie umieszczono. Wszystko, co wprzódy dziewczęciu przypisano jako zepsucie i upór, okazało się teraz dziedzicznem obarczeniem. Obecnie znajduje się stale w zakładzie dla obłąkanych."

Każdą sylwetkę z kilkuset typów przedstawionych przez pastora Isenmeyera zagaja stereotypowe zdanie: „nieślubne dziecko," „rodzice rozwiedzeni," „ojciec pijaczyna," „matka żyje rozwiąźle" lub nawet „matka rajfuruje własną córką." Te zdania wiele tłomaczą; potwierdzają one słowa Ellen Key, że wychowanie dzieci poprzedzić winno wychowanie rodziców, że „stulecie dziecka" nastanie dopiero wówczas, kiedy w społeczeństwie dokonają się przeobrażenia. Potwierdzają one dalej słowa tej myślicielki, domagającej się, by zerwać z metodą nieświadomości, a stosunki oprzeć na coraz silniejszem uświadomieniu praw przyrody: by ludziom, dziedzicznie obarczonym fizycznie czy psychicznie, odjąć prawo pozostawiania potomstwa.

O ile każda sylwetka w książce pastora Isenmeyera zaczyna się podaniem źródła mętnego, napiętnowaniem zbrodni rodzicielskiej, o tyle każda kończy się równie stereotypowem oświadczeniem: „dziewczyna objawiła symptomaty choroby umysłowej," „upadek jej był wynikiem nienormalności psychicznych," „oddaną została do zakładu waryatów."

Te słowa wskazują wyraźnie charakter i metodę postępowania z temi istotami, którym nie wychowawca, lecz lekarz potrzebny. Moralizator, teolog napotyka tu niewzruszoną opokę. . Społeczeństwo, które sobie zadanie ułatwia, pakując do aresztów lub domów poprawy te nieszczęśliwe, nie czyni należycie i słusznie. Wkłada na nie odpowiedzialność, której mieć nie powinny. Moralista nie może dotrzeć do tej warstwy ich ustroju, która właściwie uległa zepsuciu. Bo ta warstwa nie tkwi w obrębie funkcyj życiowych, za które każdy na siebie odpowiedzialność wziąć może, lecz została tak lub owak zawczasu przygotowana do występku i upadku.

Cała więc akcya ratunkowa musi zmienić się radykalnie, bo dotychczasowy sposób postępowania—jak to niezbicie stwierdził sam pastor Isenmeyer — nie przynosi widocznych korzyści. Przedewszystkiem jednak musi ustąpić małostkowe krycie się za parawan, przewiązywanie sobie oczu przepaską.

Mn.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Bez złej myśli.

Nadesłano nam do odpowiedzi następujące pytanie:

„Pan Prot-Prot-Protasiński, który wsadziwszy sobie okrągłe szkiełko na zdrowe oko, woła przez całą długość Filharmonii do hrabiego Kiksa:

— Pikuś! *Vaurien!* Pikuś! Czekamy cię w *oeil de boeuf!*

— p. Prot-Protasiński herbu „Swinka własna" nie stanowi dla nas swoją „gabinetową" francuszczyzną żadnej zagadki. Odejmcie mu ją — on, zręczny pływak życia, pójdzie na dno. Nie żądajcie przytem, ażeby kochał cośkolwiek, bo on kocha tylko chwilę, z której wydobywa jakąś rozkosz. Zrozumiałą jest również dla nas pani Epifaniuszowa z Dobrognatów Wilon-Szkorbutowa, której po pustej głowie wiatr chodzi i przewraca stęchłe frazesy z „paryskim akcentem." Ale co znaczą ci niezmordowani w swym liryzmie, czuli kochankowie „ojczystej literatury," którzy jej najbardziej reklamowane arcydzieła uważają za bochenki razowca, przeznaczone dla czeladzi a niegodne znajdować się na stole państwa? Według nich Sienkiewicz pisze rzeczy wiekopomne, Żeromski, Sieroszewski, Reymont, Weyssenhof, Tetmajer, Konopnicka, Wyspiański, Tarnowski, Kalinka — znakomite lub zdumiewające. I jednocześnie, gdy prasa podniesie jakikolwiek przedmiot, wymagający różnostronnego oświetlenia, przytacza zdania najrozmaitszych autorów z całego świata, oprócz naszych. Jest mowa o sztuce, moralności, prawie międzynarodowem lub muzyce — dowiadujemy się, co o tem sądzi Żola, Daudet, France, P. Heyse, Wille, Anunzio, Strindberg itd. — ale co sądzi Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Sieroszewski itd., nie wiemy. Dlaczego? Przecież po tysiąc razy zapewniano nas, że są to umysły ogromnie mocne i oryginalne, czemu więc tak stale bywają pomijane, czemu ci „twórcy arcydzieł" w tutejszej prasie wyglądają jak gawiedź, stojąca na dworze i przyglądająca się przez okna zebraniu państwa. Dlaczego tak się dzieje?"

Dla bardzo prostej przyczyny. Co o rozmaitych przedmiotach sądzą autorowie zagraniczni, to zbadano, zebrano, ugrupowano i ogłoszono — a my tę cudzą robotę potrzebujemy tylko przetłomaczyć. Tymczasem zdania polskich pisarzów musielibyśmy dopiero z ich dzieł wydobywać, co, jak wiadomo, wymaga pracy, na którą wzdryga się dusza rzetelnego dziennikarza nadwiślańskiego. Nadawać im tytuły geniuszów, podrzucać ich ciągle w górę i krzy-

cześć: „niech żyją!“, uprawiać dla wieńczenia ich całe łany liści bobkowych — na to się zdobędziemy; ale ich książki czytać tak uważnie, żeby zapamiętać pojedyncze zdania... za wiele trudu. I po co? Czy to nie wystarcza dla samej rzeczy, gdy przytoczymy aforyzmy France'a, Strindberga, Anunzia itd.? Nietylko wystarcza, ale nawet ładnie wygląda taka dzielna erudycya, która bez przygotowania może wymienić, co wszyscy znakomici ludzie myślą o każdej kwestyi. W końcu musimy ostrzedz naiwnych. Często u nas pisze się np. „Hamsun słusznie zauważył: wesołość jest trucizną rozumu.“ A gdzie Hamsun to zauważył? Pod sekretem: nigdzie. Ale niech kto znajdzie szpilkę w lesie. *bd.*

Apostrofa.

Otrzymujemy list następujący:

„Każdy Czech jest ogrodnikiem. Więc też, bawiąc w Warszawie przez dni kilka, oglądałem ją również z tej strony. Same dziwy! Kwietniki na placach i skwerach śliczne — oryginalnie pomyślane i starannie utrzymane. Ale jednocześnie obok tego zbytku jakaż nędza i to tam, gdzieby jej najmniej oczekiwać można! Przy alei Ujazdowskiej, oddzielony kratą, po za ogrodem Botanicznym, rozciąga się obszerny owocowy. Karły w nim wyprowadzone niedość umiejętnie—ani jeden w formie ściśle prawidłowej, korony drzewek piennych przycięte trochę po partacku — o to wszakże mniejsza. Ale co znaczą dwa rzędy zwyczajnych świerków, wyciągnięte przy samej kracie w miejscu, którego łokieć kosztuje zapewne kilka rubli i które należałoby zużytkować na hodowlę najwytworniejsze dla nauki poglądowej?

Poszedłem do Towarzystwa ogrodniczego, spodziewając się tam ujrzeć popis sztuki. Długo nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Dom oddzielony od ulicy dziedzińcem, na którym rośnie trochę suchotniczych drzewek iglastych, parę zwyczajnych krzewów i poszarpana obwódka szpalerowa. To ma być siedziba Towarzystwa ogrodniczego? Darujcie mi, kochany panie, ale staranniej przystraja swoją willę każdy bankier.“

List ten nie był przeznaczony do druku, ogłaszamy go jednak jako apostrofę, która może znajdzie swój adres. *w.*

Statystyka kradzieży.

Chyba najstraszniejszą dla nas nauką jest statystyka. Do którejkolwiek jej rubryki zajrzymy, wszędzie spotkamy cyfry, od których nam skóra cierpnie. Ot np. urzędowy wykaz kradzieży za kwiecień. Popełniono ich 435 na sumę 47,011 rubli. Czyli że około pół miliona rubli rocznie przesuwa się drogą występku w jednem mieście. A w całym kraju? Tego nikt nie oblicza, bo nawet połowa wypadków nie bywa ujawnianą. Zwłaszcza na wsiach pogodzono się z tym „ekonomicznym warunkiem wytwórczości,“ albowiem dochodzenie straty w 99 razach na sto jest daremnem marnowaniem czasu i kosztów. Komu wyprowadzono w nocy konia, krowę, świnię lub obrabowano śpichlerz, a nie może „ułożyć się ze złodziejem,“ ten macha ręką i zaledwie sąsiadowi wspomina o interesującej obu nowinie. *h.*

Pokaz bratków.

Zeszłej niedzieli mieliśmy w Tow. ogrodniczem wystawę bratków i niezapominajek, o której jako o wystawie niewarto byłoby wspominać. Na takie miasto, jak Warszawa, gdzie roi się od sklepów ogrodniczych, gdzie jest tyle firm hodowli roślin i kwiatów, te kilka stołów, kuso zastawionych, w zdumienie tylko wprawić mogło. Do tej uroczystości jednak nawiązano inną: rozdawnictwo roślin dzieciom. Być może, jedyny to sposób, powolny wprawdzie, lecz niezawodny szczepienia w masach poszanowania dla drzew, kwiatów, trawników, którym dziś wszędzie i na każdem miejscu grozi zagłada z ręki lub od nogi pierwszego lepszego, przechodzącego barbarzyńcy. Dobrą też ze wszech miar była myśl Tow. ogrodniczego. Tylko z tych początków wielkich rzeczy obiecywać sobie nie można. Z kilkuset dzieci (500 podobno), które dary otrzymały i wysłuchały, jak je pielęgnować, $^1/_{10}$ prawdopodobnie zaledwie wytrwa w pieczy powierzonej sobie roślinki i o rezultacie starań swych przyjdzie zdać sprawę. Niemniej jednak, jeśli Tow. ogrodnicze eksperyment powtórzyć zechce, a nadewszystko jeśli go w stały zwyczaj utrwali, możemy mieć w przyszłości imponujące, wielotysięczne nawet, jeśli nie pokazy bratków, to zgromadzenia dzieci na „święto rozdawnictwa“ kwiatów. W Japonii rodzice domagają się od nauczyciela szkółki elementarnej, aby uczył ich dzieci wiązania i układania kwiatów my na tej drodze postawiliśmy dopiero pierwszy krok: musimy przedewszystkiem wyrobić w sobie upodobanie do posiadania kwiatów, patrzenia na nie, ochraniania ich, rozkoszowania się nimi, tj. stanąć na tym stopniu kultury, gdzie piękno należy już do niezbędnych, codziennych potrzeb życia — dla każdego bez wyjątku. *p.*

Egzamina.

Każdy student warszawski musi przejść koniecznie stałą chorobę — egzaminów. U nas specyalnie sposób ich odbywania należy do najprzykrzejszych. Określony czas ich trwania, zwyczaj egzaminowania z „kursu“ — są to rzeczy męczące i nieprowadzące do celu. Czy człowiek, znajdujący się w stanie nienaturalnego podniecenia, wywołanego zarówno nieprzychylnymi warunkami, o których mówiłem, jak i musem zdania egzaminu na oznaczony termin, może wykazać rzeczywiste swe wiadomości, i czy nie większą rolę odgrywa tu przypadek? W niemieckich uniwersytetach, tak wysoko stojących pod względem poziomu naukowego, termin egzaminu zależy od kandydata, który wtedy dopiero do niego przystępuje, gdy jest pewien swej wiedzy i czuje się na siłach. Czy nie możnaby i u nas wprowadzić tego zwyczaju? Tyle dobrych stron ma on w sobie, a żadnych ujemnych. *r.*

Pomoc.

Nareszcie kryzys, jaki obecnie przechodzimy, zwrócił na siebie uwagę. Naturalnie wystąpiła przedewszystkiem filantropia; może ona nieco złagodzić położenie pewnych jednostek, lecz zawsze pozostanie kroplą w morzu. W radach, podawanych przez pisma, zasługuje na uwagę kwestya podniesienia funduszów zapasowych, jakie posiadają niektóre miasta, i użycia ich na przedsięwzięcia, któreby dałyby zajęcie poszukującym pracy. Podobno magistrat warszawski stara się o przyspieszenie robót na rachunek niedawno zaciągniętej pożyczki milionowej. Projekty te świadczą o przyjmowaniu się na naszym gruncie przekonania, że tylko samopomoc ogółu może tu coś zaradzić. Oby zostały one wykonane i nie poszły w zapomnienie, jak tyle innych. Bo wiadomości o wzrastającej liczbie ludzi bez zajęcia i bez środków przeczekania przesilenia są coraz liczniejsze, coraz groźniejsze. Coraz większe zastępy zwracają się do ogółu nie o jałmużnę lub wsparcie, lecz o pracę, o możność życia. *z.*

Przeciążenie szkolne.

Jeden ze stałych „wylawiaczy“ kwestyj społecznych, upiększających pisma codzienne, powrócił do tylokrotnie omawianej sprawy przeciążenia szkolnego. Nie pojmuję, poco powtarzać ciągle to samo, jeżeli się albo nie daje nowego ujęcia rzeczy lub nie przytacza przyczyn, dlaczego dana kwestya staje się znów palącą. Co do samej sprawy to sądzę, że należy główną uwagę zwrócić nie na zbyt obszerny program udzielanych wiadomości, tembardziej że utyskiwania w tym względzie są często przesadzone, lecz na pedagogiczne zdolności nauczycieli. U nas bardzo mało jest ludzi wyspecyalizowanych w tym kierunku. Znajomość danego przedmiotu nie wystarcza, aby nauczyć, szczególniej zaś aby uczyć dzieci; wiadomości i uzdolnienia pedagogiczne należą do niezwykle rzadkich u nas rzeczy. I to jest przyczyną szablonu oraz maniery, jaka panuje w naszych zakładach naukowych. *b.*

Kocioł garnkowi przygania...

Śmiejemy się z cudzoziemców, tworzących niemożliwości z geografii naszej. Lecz oni nie mają prawie żadnych materyałów o Słowiańszczyźnie i nie znają naszego języka, nam zaś dość sięgnąć do jakiejkolwiek encyklopedyi lub atlasu, by nie popełnić barbarzyńskich błędów, pisząc o Europie zachodniej.

Niech Francuz przekręci Płock na *Plok* lub t. p., a zapanuje śród nas radość niezmierna. Tymczasem przeczytajmy, co w *Kuryerze Warsz.* pisze wszechstronny „Kaprys“ w art. „Szpiegostwo wojskowe,“ cytując za paryską gazetą *Matin* tajne (?) jakoby wskazówki, dane szpiegom w celu wykrycia sekretów francuskich.

„Zanotować wszystkie baterye Brestu, nie wyłączając tych, które skierowane są na zatokę Douarnanez. Podać liczbę i kaliber armat każdej poszczególnej bateryi.“

„Dostarczyć tych samych informacyj o punktach następujących: wyspa Quessant, wyspa Croise, półwysep Quisberon, Belle-Ysle, wyspa Re, wyspa Oleron, oraz inne punkty obwarowane na wybrzeżu zachodniem Francyi.“

Co słowo — to błąd, co nazwa — to przekręcenie i po większej części tego rodzaju, że ani dziennik francuski nie mógł ich spłodzić, ani nasz biedny zecer popełnić z powodu nieczytelności rękopisu.

A więc nie Douarnanez, ale *Douarnenez*.

I strategia trochę tu niedopisała reporterowi *Matin'a*. Brest od najbliższego punktu zatoki Douarnenez oddalony jest w linii prostej o 16 kilometrów. Tak daleko dzisiejsze kule nie niosą. Przypuśćmy więc, że mowa jest o wszystkich fortach i bateryach, otaczających całą załogę Brestu. Z najbliższego fortu *de Lanveoc*, zresztą zwróconego w przeciwnym kierunku, kula armatnia musiałaby ogniem przerzutnym zrobić ponad lądem sześć i pół kilometra, żeby spaść na brzeg zatoki Douarnenez. Bliżej, bo o 2 kilometry, leży fort *Crozon*, ale baterye jego również nie są skierowane na zatokę Douarnenez, ale ku obronie zatoki de Dinan.

Cała więc wielka, bo przeszło 250 kilometrów kwadratowych zajmująca, zatoka Douarnenez nie jest wcale ufortyfikowana, a jedynie w części swej północnej, zwanej zatoką *de Morgat*, ma trzy niewielkie baterye: *du Gador*, *Kulianec* i na wysepce *l'Aber*. Mają one na celu nie obronę zatoki, ale przeszkodzenie w wylądowaniu na tyłach wzmiankowanych fortów.

Wszystkie inne nazwy są też błędnie podane w tym artykule. Niema wyspy Quessant (chyba w tłomaczeniu polskiem geografii Guthe'go), ale *Ouessant*. Również nie istnieje wyspa Croise, ale *île de Groix*, zasłaniająca wejście do portu wojennego Lorient i posiadająca forty *du Gronion*, *du Grippe*, *de la Croix*, baterye: *du Bas Gronion* i *de Mosterven*, rozmieszczone wszystkie na północnem wybrzeżu. Wyspa Belle-Ysle nie pisze się przez Y, a dla odróżnienia od *Belle-Isle-en-Terre*, nowsza pisownia usuwa *s*, pisząc *Belle-Ileen-Mer*. A co do półwyspu Quisberon, to ten nigdy nie posiadał *s*: *Quiberon*. Nie bę-

dę się już czepiał uproszczonej pisowni wysp Re i Oleron, które nie mając formy spolszczonej, powinnyby się pisać *de Re i Oleron* pod groźbą fałszywego wymawiania przez umiejących czytać po francusku.

Posiłkując się cudzymi artykułami, należałoby to robić ze znajomością rzeczy, a nie jak za panią matką pacierz.

Kropka.

BADANIA NAUKOWE.

ZMIANA METODY
we współczesnych badaniach dziejów sztuki.

Historya sztuki dotychczas była i jest przeważnie nauką poświęconą zjawiskom tak zwanej sztuki wielkiej. Wprawdzie w powszechnych dziejach jej oceniano często objawy artystyczne plemion i krajów, jak Egipt lub Grecya, z pewnem staraniem ujęcia ich w całość życia artystycznego. Ale działo się to dlatego, że Egipcyanie i Grecy posiadali tak względnie jednolitą i czystą, z siebie samej wysnutą kulturę artystyczną, iż nie sposób było pominąć tego, co się poczynało chatą mieszkalną, drewnianą, a kończyło Parthenonem lub Erechteionem na Akropolu. Pomiędzy klocami drzewnymi, ciosanymi na ludzki obraz i podobieństwo tegoż, a najwyższymi działami Myrona i Praksytelesa istniał rozwój jednolity i równy, zaznaczony ogniwami dzieł pośrednich, w czasie i w artyzmie zaznaczony.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z kulturą ludów europejskich po wyolbrzymieniu organizacyjnem państwa rzymskiego i jego prawnego dziedzica, kościoła zachodniego i wschodniego. Potęga i autorytet tego, co szło z początku w ślad za orłami legionów rzymskich, a potem za organizacyą kościelną, wysyłającą duchowieństwo w imię krzyża, aby nauczało wszystkie narody, były tak ogromne, że przygniatały osobowość kulturalną pogańskich Keltów, Germanów i Słowian.

„Pogańska“ sztuka, jako forma, ustępowała nieustannie temu, co jako wytwór cywilizacyi rzymsko-chrześciańskiej posuwało się zwycięsko naprzód.

A chociaż w dziejach sztuki wyższej, w romańszczyźnie i w gotyku istnieją wpływy, których źródłami rzymsko lub bizantyńsko - chrześciańskiemi wytłomaczyć nie można, to pochodzenie tej odrębności pomijano milczeniem lub lekceważeniem.

Klasycyzm rzymski i grecki oraz chrześciaństwo miały być wyłącznem i jedynem źródłem twórczości narodów europejskich w średniowieczu i po za średniowieczem. Okazało się jednak z biegiem czasu, że istnienie plecionki „romańskiej“ daleko łatwiej wytłomaczyć wpływem sztuki keltycko-normańskiej z czasów przed chrześciańskich, i że pomiędzy zdobnictwem Keltów i Normanów przed najściem epoki krzyża i kościoła, fałszywie nazwaną sztuką romańską, istnieje pokrewieństwo silniejsze, niż przypuszczano.

Zasługę Seesselberga, dokonaną w dziele „Die altgermanische Kunst“ jest właśnie stwierdzenie tego wyrazistego w swem znaczenia faktu.

Inny badacz, Francuz, Conrajod (książki jego nie miałem w ręku) stara się wyjaśnić powstanie charakteru sztuki gotyckiej we Francyi dawnem budownictwem drewnianem osad keltyckich.

Pomiędzy formą renesansu niemieckiego a motywem układowym drewnianych chat niemieckich istnieje również ścisły związek.

Okazało się więc, że bez zbadania rodzimego, odwiecznego podłoża artystycznego, sztuka każdego narodu nawet w swoich najwyższych objawach będzie zagadką, w jednej tylko połowie wyjaśnioną i tłomaczoną. Cały dział archeologii przeddziejowej oddanej na łup starożytnikom, cały dział sztuki ludowej odstąpionej w dzierżawę pozornie wieczystą etnologom należało wciągnąć w zakres badań dziejów sztuki. Naturalnie, badania takie były tem trudniejsze, im doszczętniej dawna, odwieczna kultura ludu została zniszczona przez kilkusetletni pochód łacińsko bizantyńsko-chrześciańskich wpływów. Jak można badać oddziaływanie budownictwa drewnianego na murowaniec w Anglii, kiedy tam został się już jeden tylko kościół drewniany w Greenstead? We Francyi niema ani jednego budynku kościelnego wykonanego w drzewie. Mur rzymski, jako tworzywo wyłączne, wyparł nazawsze z Włoch i z Francyi (wyjąwszy Bretanią i krainę Basków) niegdyś panujące drzewo. Zachowało się jeszcze trochę starych domów mieszczańskich, drewnianych w północnej Francyi, jak np. w Rouen i to jest wszystko, co wraz z garścią dyalektów, strojów i wierzeń zostało po dawnych czasach.

Również i w Anglii zachowane, stare domy mieszkalne tłomaczą narodowy sposób używania drzewa na budowlę.

W Niemczech chata włościańska i dom staromieszczański są też jedynemi pozostałościami dawnej kultury ludowej. Inaczej już rzecz się ma tam, gdzie chrześciaństwo dotarło później.

Na półwyspie skandynawskim, w Polsce, na Węgrzech i w Rosyi odwieczne, artystyczne życie ludu istnieje często, wyrażając się wprawdzie nieustannie, lecz po dzień dzisiejszy tak, że możemy badać je jeszcze w całej pełni. Im niedostępniejszym jest bór, bagno, puszcza, im trudniej dostać się do górskich dolin, tem czyściej i bujniej przechowana tam została miejscowa sztuka, wysnuta z własnej tradycyi, z własnych form bytowania.

Kościoły norweskie, węgierskie i polskie, cerkwie rosyjskie o wysokiej kulturze ciesielskiej, artystycznej świadczą o tem po dziś dzień.

Budownictwo na Podhalu, Huculszczyznie u Kurpiów jest wybitnym dowodem powyższego twierdzenia.

Nie dziw więc, że sztuka ludowa tych wschodnio-europejskich narodów nietylko nie ginie bez śladu, lecz nawet zdolna jest sobą zapłodnić sztukę klas wyższych. To jednak, co dzisiaj dzieje się świadomie, działo się dawniej bezwiednie. Zasady stylowe sztuki miejscowej przenikały to, co przychodziło z zachodu i południa, przerabiały formy obce odpowiednio do swych potrzeb i upodobań, wiekami wyrobionych. Tu leży punkt zaczepienia dla nowej metody w badaniach dziejów sztuki. Jeśli ona, jak zresztą i cała kultura, jest wypadkową dwóch sił—jednej odwiecznej, rodzimej, miejscowej, drugiej płynącej z obcych źródlisk cywilizacyjnych, to i metoda badania winna iść również temi drogami.

Dzieje sztuki każdego narodu należy ująć w dwa łożyska.

Pierwsze łożysko — to badanie źródeł powstania i rozwoju sztuki ludowej.

Drugie — to badanie dróg i wpływów zewnętrznych, urabiających zwłaszcza wyższe klasy na swą modłę.

Dotychczas badano głównie to, co szło drugą drogą, pierwsza zarastała gąszczem, zaniedbana zupełnie lub przebiegana czasem w innych zupełnie celach przez starożytników i etnografów.

Badanie nad sztuką ludową, nieustannie w całokształt ujmowane, przyczynia się ogromnie do poznania wielu bardzo zjawisk w dziejach kultury narodowej, dzisiaj w znaczeniu swem zmąconych i niewyraźnych.

Najbardziej jednak na pogłębieniu metody w tym kierunku zyska historya sztuki narodowej, wzięta jako całość.

Kazimierz Mokłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Jerzy Żuławski: *Na srebrnym globie.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Lwów 1903.

„Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, ziONął otwór obszerny gotowej już studni z lanej stali, która (?) miała za kilkanaście godzin wystrzelić na księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami... Na drugi dzień, na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...“

Bez zastrzeżeń zgadzam się na tę podróż. Co tam!.. byle porzucić ten padół ziemski, pełen szarych trosk i banalności, pełen mizernych kłopotów i powieści naszych grafomanek, byle zerwać ten łańcuch, którym ludzkość przywiązana do ziemi, odetchnąć nową atmosferą, ujrzeć inną planetę i raz jeden w innem zanurzyć się życiu!.. A jeżeli marzenie się ziści, to mniejsza o sposób, prowadzący do celu!

Droga daleka, ale kres jej bliżej, niż wydawać się mogło. Jeszcze kilka stronic i oto jestem na księżycu. Otacza mnie okropna głusza i noc nieprzejrzana, długa, straszna, zda się, bez końca i bez nadziei promiennego jutra. Po chwilach trwogi i niepokoju, dostrzegam nareszcie złoty rąbek tarczy słonecznej i wnet w pocisku, zamienionym na wóz, pędzę przez dzikie pola, nastroszone odłamami bezkształtnych głazów, patrzę na strome wzgórza i turnie przepaściste, podziwiam dzikie i groźne krajobrazy, mijam bezdenne czeluście, posuwam się dalej i dalej, w świat ciekawy i piękny. A świat ten wykołysała fantazya poety, lecz odtworzył myśliciel, uzbrojony w wiedzę, pilnie śledzący każdy odruch skrzydeł wichrowych, i z całą świadomością nakreślający im kierunek lotu. Fantazyę poety okiełznała wiedza myśliciela. To też w tym świecie fantastycznym wszystko jest jasne i zrozumiałe, wszystko wytłomaczone i uzasadnione. Powoli, powoli zaczynam się oswajać z nowem położeniem. Ciekawość pierzcha, a pierwotny urok rozwiewa się i blednie. Czytam dalej i dochodzę do przekonania, że aczkolwiek patrzę na rzeczy nowe i niewidziane, jednakże odnajduję w nich dobrze znane mi strony. Jestem na księżycu, od ziemi dzielą mnie setki tysięcy wiorst, a mimo to nawet w tych posępnych krajobrazach księżycowych, w tych otchłaniach zawrotnych i cyplach skalnych dostrzegam coś ziemskiego, coś, na co już nieraz patrzyłem tutaj, na szarym globie codziennych trosk i kłopotów. I oto nasuwa się pytanie: czy warto było odbyć podróż tak daleką i ryzykowną? Czy warto?... Ha, kto wie! może przed oczyma autora, nim zasiadł do pisania, inny świat zakwitnął i myśl poety pociągnęła inna, niczem niepodobna, a piękniejsza od widoków ziemskich kraina. I być może, iż ten „glob srebrny“ inaczejby odtworzył poeta, gdyby mu nie towarzyszył uczony, opancerzony wiedzą ścisłą,

nieustannie pamiętający, że kształcił się na ziemi, że w swoim czasie przez najlepszy teleskop obserwował konstelacye gwiazd, powierzchnię księżyca, jego wgłębienia i kotliny, zwały gór, równiny i płaskowzgórza. Bo fantazya i wiedza kłócą się w Żuławskim. Poeta wzrusza i zaciekawia, uczony tłomaczy i objaśnia. Poeta dał powieści swojej tytuł fantastyczny, a uczony dzieło swe zaopatrzył w mapę...

Ale pomińmy stronę opisową. Z pomysłu Vernego nietylko po to skorzystał autor, aby odbyć z czytelnikiem spacer po księżycu. Przeniósł on tam ludzi, odgrodził ich od świata, kazał im żyć w niezwykłych warunkach, przepoił ich tęsknotą i smutnem zamyśleniem, ugodził w ich serca grotami bólu i dopiero badawcze, a przenikliwe spojrzenie zatopił w ich duszach. W tem tkwi oryginalność i piękność „rękopisu z księżyca," a zarazem tryumf autora. Żuławski zna ludzi i umie ich przenikać. Przygody, które spotykają jego bohaterów są tylko tłem, na którem jaskrawo odbija się natura człowiecza. Oto śmiałym podróżnikom popękały zbiorniki ze zgęszczonem powietrzem. Pozostał zaledwie jeden, a wszystkie próby ocalenia zawodzą. Jeszcze trzysta godzin życia, a potem... Każdy z tych ludzi chce żyć, a każdego nieubłagane widmo śmierci napawa okrutnem przerażeniem... Żyć! żyć!.. I okrzyk ten zagłusza wszystkie głosy sumienia. Nagle, jak błyskawica olśniewa ich myśl, że jednemu może się uda dotrzeć do miejsca, gdzie atmosfera pozwoli oddychać, że jeden może się ocalić, jeżeli... jeżeli reszta towarzyszów umrze. Żmije podłości i strasznego egoizmu zaczynają zatruwać dusze swym jadem. Milczą i długo słowa nie mówią do siebie, ale w swych twarzach zasępionych widzą, jak w zwierciadle, jeden i ten sam ohydny, potworny wyrok zagłady.

Sceny te wstrząsają mocą, a zawarta w nich prawda, tak nielitościwie dyskredytująca człowieka, jest jedną z tych prawd, które wywołują dreszcz zimny i grozę.

Ocalenie (czego zresztą łatwo się było domyśleć) przyszło samo i śmiali podróżnicy dotarli do celu. Wszakże z pięciu dwóch nie doczekało tej chwili. Przy życiu pozostało troje: kobieta i dwaj rywale. I znowu zaczyna się dramat mroczny i ponury, jak noc. Ona pogrzebała kochanka, a razem z kochankiem miłość i wszystkie namiętności. Oni widzą to, ale świadomość, że ta kobieta jest wolna i do nikogo już nie należy, że jeden lub drugi może ją posiąść, obu zatruwa życie. Budzi się zawiść, zaczyna się bój z samym sobą i swoją podłością, wreszcie walka o miłość, którą każdy z nich sobie pragnie zapewnić. Zabić, zabić rywala!.. I myśl ta wrzyna się w mózg i zwisa nad nimi, jak posępna chmura. Lada przyczyna, a w chmurze tej rozlegnie się grzmot i piorun uderzy, by zdruzgotać życie. Świadczą o tem zdania, ledwo rozpoczęte, a więznące w gardle i spojrzenia groźne, jak błyski sztyletu i namiętność, rosnąca z dniem każdym, a jak pożar, ogarniająca dwie dusze.

Zwierzę, przyczajone w człowieku, umie autor wyprowadzić na światło dzienne i pokazać ze wszystkich stron, nie zaniedbując ani jednego rysu, który uwypukla ten portret potworny. Żuławski nie przesadza i nie zatraca miary, a ludzie, których odtwarza, są tylko ludźmi i nigdy nie przestają być sobą. Potrafią oni cierpieć i zmagać się ze zwierzęciem, które w nich drzemie, umieją cierpieć, marzyć i tęsknić... Inaczej przedstawia się pokolenie nowe, którem Żuławski zaludnił księżyc. Kultura ziemska zamiera w niem zwolna, a planeta, którą zamieszkuje, coraz silniejszy wpływ na nie wywiera. Ci nowi ludzie nabierają cech pierwotnych, wyradzają się, karleją i z czasem stają się naprawdę... ludźmi z księżyca. Pamięć o protoplastach nowego społeczeństwa powoli wygasa. Ludzie księżycowi wcześnie dojrzewają i umierają wcześnie, a po jednem pokoleniu szybko następuje drugie. I oto na całym globie pozostaje tylko jeden bohater, którego śmierć nie chciała zabrać, jeden jedyny człowiek, który światło dzienne ujrzał na ziemi. Smutnemi oczyma patrzy on na otaczających go ludzi-karłów. Nie rozumieją go, przypisują mu ogromną władzę i potęgę, oddają cześć bałwochwalczą, a on staje wobec nich bezsilny, bezradny, niczem niemogący rozwiać tych złudzeń. Sam jeden na całym globie, sam aż do śmierci, która nie przychodzi!.. A w duszy, jak skarb najdroższy pozostało wielkie, święte wspomnienie o ziemi, którą porzucił szalony. Więc na skrzydłach tęsknoty biegnie do tej jasnej kuli, zawieszonej w lazurach, wspomina drogie twarze ludzkie, których już nigdy nie zobaczy, śni o zieleni łąk i szczytach gór śnieżnych i o lasach, w których szumi orkiestra głosów ptaszęcych i o tych wszystkich tak umiłowanych, a nazawsze straconych widokach ziemskich. Tęsknota wzmaga się i rośnie. O ziemio! ziemio!.. Daremnie usiłuje zapomnieć i odegnać wspomnienia; co chwila, jak kwiaty wyrastają przed oczyma jego duszy i odurzają, jak kwiaty... Tam o setki tysięcy wiorst bracia drodzy i ukochani, tam kraj rozkoszny i cudny, tam... O ziemio! ziemio!..

„.....A oto piszę ostatnie wyrazy, nim zamknę te papiery w kuli, która je poniesie ku ziemi. Zapasy żywności już się wyczerpały, powietrza starczy mi zaledwie na dwie lub trzy godziny. Muszę się spieszyć...

O Ziemio!"

Artur Śliwiński.

NOWE KSIĄŻKI.

— Marya Konopnicka: **Poezye w nowym układzie V. Z mojej księgi.** Warszawa. Gebethner i Wolff, 1903.

Dalszy ciąg nowego wydania poezyj poetki. Układ zmieniony. Są to rzeczy znane nam i drogie. Zrozumieć z nich można, jak duch jej się rozwijał i jak wiele szukał, zanim znalazł własne słowo twórcze.

— Tejże: **Drobiazgi z podróżnej teki.** Warszawa. Gebethner i Wolff, 1903.

Chwilowe wrażenia ze świata zewnętrznego, z których każde budzi pewną stronę uczucia. Szczerość i prostota cechują te drobne perełki artystyczne. Wrażliwość na piękno natury, większa jeszcze wrażliwość na piękno uczuć człowieka, to główny ton całej twórczości Konopnickiej; i w tym zbiorku odnajdujemy znaną nam organizacyę artystyczną, która choć przeszła już szmat życia, nie zatraciła bogactwa swego talentu, choć rozdawała szczodrze na prawo i na lewo. Głębokie umiłowanie, wrażliwość na te strony ducha ludzkiego, co bezpośrednio stykają się z czynem zewnętrznym, smutek i melancholia teraźniejszości i wiara w przyszłość — oto główne jej dary.

Wilhelm Feldman: **Wybór poezyi Młodej Polski.** Kraków. Friedlein, 1903.

Trudno pojąć, jaki cel mają wszelkie „wybory poezyi." „Wybór, to tylko przewodnik"— ku czemu? Niesposób objąć całokształtu twórczości w paru wyjątkach. Dać pewne wskazówki oryentujące można tylko w usiłowaniu syntezy, lecz nigdy w wybraniu fragmentów. Jeżeli kto nie ma w sobie głodu piękna i „czasu" na czytanie, to niech nie czyta. Ułatwianie mu „zaznajomienia się" ze stanem poezyi rzecz zbyteczna.

P. Feldman zna dobrze naszą literaturę najnowszą, patrzy na nią bez uprzedzeń; wybrał też rzeczy ładne i należące do tych, które świadczą o słuszności twierdzenia, że z „Młodej naszej poezyi pod niebo strzelają potężne talenty, a nawet nizko w cieniu tych drzew rosnące kwiaty, mają urok i woń własną."

Notatki literackie i artystyczne.

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY. Nakł. F. Westa, Brody, Galicya. Warszawa Wende i S-ka:

— Antoni Malczewski: „Marya," opracował W. Dropiowski, cena 35 kop.

— Adam Mickiewicz: „Grażyna," opracował dla użytku szkolnego dr. K. Woyciechowski, cena 30 kop.

— Jan Kochanowski: „Treny," opracował dla użytku szkolnego Z. Pauliez, c. 35 kop.

— Juliusz Słowacki: „Mazepa," opracował Kazim. Zimmermann — 35 kop.

— Adam Mickiewicz: „Ballady i Romanse," opracował Henryk Kopia — 35 kop.

— William Szekspir: „Hamlet," przekład Józefa Paszkowskiego, opracował dr. Piotr. Chmielowski — 60 kop.

— Jan Kochanowski: „Odprawa posłów greckich," opracował K. Zimmermann — 35 kop.

— Sofokles: „Antygona," tragedya w przekładzie Kazimierza Kaszewskiego, opracował dr. Piotr Chmielowski — 35 kop.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH. Wyd. Arcta.

— Giovanni Verga: „Rycerskość wieśniacza," przełożył i przedmową o weryzmie opatrzył A. Strzelecki — 10 kop.

— Felicyan: „Franczeska z Ravenny." Wyd. drugie — 10 kop.

— Homer. „Ilyada," streścił A. Wrzesień — 25 kop.

— Feliks Urbanowicz: „Zwierzęta pod względem budowy ciała," — 25 kop.

— [illegible] świecie," streścił S. B. — 20 kop.

— G. Stanley Hall: „Znaczenie studyów nad dziećmi," streścił z niemieckiego Kazimierz Król, wyd. drugie — 20 kop.

— Waldemar Osterloff: „Zarys historyi literatury niemieckiej," część III, od Göthego do Schillera — 15 kop.

— Zenon Pietkiewicz: „Z naszych stosunków ekonomicznych." Kapitały obce w przemyśle polskim, Cła. Artele — 20 kop.

— I. Moszczeńska: „Jak rozmawiać z dziećmi o kwestyach drażliwych," wskazówki dla matki — 15 kop. — „Dobre i złe wychowanie w przykładach — 20 kop.

— Antoni Miecznik: „O Serbii i Serbach," krótki zarys — 20 kop.

NA MARGINESIE.

Nauka z wojny. Wojna rosyjsko-japońska przyniosła już dziś Europie niewątpliwe korzyści: zaznajomiła ją z życiem i kulturą ludów Wschodu, a zwłaszcza tego, który jest jednym z bohaterów rozgrywającego się dramatu. Oprócz sprawozdań z placu boju wszystkie pisma świata zamieszczają artykuły informacyjne, bardzo pouczające. Odsłaniają one bowiem nowe, nieznane rysy, zwyczaje, urządzenia, o których dotąd wcale nie słyszeliśmy, a które stanowią nieraz cenne wzory życia społecznego. „Trzeba o tem ciągle pamiętać— mówi Ilsa Frapan Akunian w jednej z gazet niemieckich — że Japonia jest krajem ludzi młodych i wszystkie cechy tego narodu są właściwościami młodości. Wesół, ruchliwy, skłonniejszy do rozrzutności, niż skąpstwa, moralny rygorysta, odważny aż do szaleństwa, marzycielski czciciel pięknych kwiatów, pohopny do wszelkiej nowości i do wszelkiej próby — wygląda on między innymi, jak młodzieniec między starcami.

Dzieci japońskie nie podlegają przymusowi szkolnemu, gdyż wszyscy rodzice pragną swoje kształcić, a dzieci znowu chcą się uczyć,

A co jest szczególnem, że nauczyciele obchodzą rodziców i pytają, czego mają uczyć ich dzieci, stosując się ściśle do wyrażonych żądań.

Jednym z obowiązkowych przedmiotów w niższych szkołach japońskich jest sztuka układania i wiązania kwiatów, o którą najczęściej upominają się rodzice. Komu przyszłoby na myśl w poetycznej Europie wprowadzić do planu pedagogicznego taką naukę?

Wpływ ciemności. Znanym jest wpływ ciemności na rośliny, mniej oddziaływanie jej na zwierzęta. I w tym właśnie kierunku poczyniono niedawno ciekawe spostrzeżenia. W ogrodzie botanicznym w Paryżu istnieje pracownia biologiczna, posiadająca dwa oddziały: jeden czynny w świetle dnia, drugi—w zupełnej ciemności, w głębi piwnic, gdzie trzymają przeznaczone do obserwacyi przeważnie skorupiaki, żaby oraz różnego rodzaju ryby. Na skorupiakach zauważono zanikanie stopniowe ubarwienia szarego. Oko z początku normalne, po upływie roku już jednak cokolwiek się zmienia w swej części przedniej, choć sekcya nie wykazała najmniejszych przeobrażeń w siatkówce lub w nerwie wzrokowym. Narządy zaś węchu, dotyku i smaku już po upływie kilku miesięcy zdradzają nadmierny rozwój. Wydłużają się stopniowo i stają trzy razy takie, jak były poprzednio. Oko, jakkolwiek bezużyteczne, utrzymuje się jednak przez pewien czas, zaś narządy, które zmuszone są do działania wskutek jego bezczynności, rozrastają się też w stosunku do wagi, jakiej w tych warunkach nabierają.

Węgorz po pięciu latach przebywania w ciemnem akwaryum dostał oczu dwa razy tak wielkich, — co, zdaje się, każe przypuszczać, że przerost poprzedza w tym razie zanik organu. Długie przebywanie w ciemności wpływa także na zmniejszenie rozmiarów ryby, a właściwie skrócenie jej długości. Sześć rybek złotych umieszczono w piwnicach, a drugie sześć takich samych w akwaryum oświetlonem. I te i tamte żywiono jednakowo. Po upływie dwóch lat, umieszczone w ciemności rybki nabrały koloru białego, lekko zaróżowionego i zmalały do połowy poprzedniej swojej wielkości, podczas gdy, trzymane w świetle dnia, zachowały niezmienione i barwę i rozmiary.

Zamierzają podobno rozpocząć takie same badania nad zwierzętami ssącemi; tylko w piwnicach chcą poprzednio zaprowadzić doskonalszy sposób przewietrzania.

Z PRASY.

— *Lubl. Gub. Wied.* zamieściły opis następującej sprawy:

„Dnia 13—15 maja sąd okręgowy lubelski rozpatrywał sprawę pięciokrotnego oporu masowego Niemców-kolonistów podczas ściągania z nich składki szkolnej.

Dnia 31 marca wójt gminy Cyców w pow. Chełmskim przybył z 2 sołtysami i 7 strażnikami ziemskimi do kolonii Zarubki w celu ściągnięcia składki na naprawę szkół w Świrszczowie i Kulikowie. Koloniści w liczbie około 200 oświadczyli, że składki nie dadzą. Wójt udał się pomimo to do domu jednego z nich. Żona kolonisty wpuścić ich nie chciała, gdy weszli przez okno i zaaresztowali kawał płótna, odebrała im je. Strażnikowi, który chciał wejść na strych, nie dała drabiny. W domu innego kolonisty żona jego zagrodziła wejście wójtowi żelaznemi widłami, a gdy jej widły odebrali, kijem uderzyła strażnika. Wójt i towarzyszący mu, nic nie wskórawszy, odjechali.

Dnia następnego udali się w tym samym celu do kolonii Bogdanki. Koloniści-Niemcy, zebrani w liczbie około 200, odmówili składki, twierdząc, że wójt ściąga ją dla siebie. Wśród krzyków, drwin i obelg tłumu przybyli odjechali, nic nie zrobiwszy. Nazajutrz powrócili znowu. W domu jednym zaaresztowali krowę, ale tłum odebrał ją im siłą.

Dnia 23 kwietnia przyjechał do Bogdanki naczelnik straży ziemskiej z 19 strażnikami i wójtem. Niemcy tłumnie zebrani oświadczyli, że składek nie zapłacą, na ściągnięcie ich nie pozwolą. Naczelnik straży ziemskiej nakazał ściąganie od Heleny Weis, do której domu trzeba jednak było wejść przez okno. Weisowa wówczas zapłaciła, wymyślając przybyłym od rabusiów. Te same sceny szamotania się, wdzierania do domów siłą i wymyślań od rabusiów i złodziejów powtórzyły się i u innych. Na kolonii Nowy Stręczynek koloniści przyjęli przybywających uzbrojeni w miotły i kije. Trzeba było wszędzie używać siły, wrota z zawias zdejmować.

Rzecz ciekawa, że koloniści na swoje szkoły (kantoraty) płacą po 7—9 rb. z morgi; na szkoły gminne wypadało na nich zaledwie po kilkanaście kopiejek z morgi.

Z 35 oskarżonych sąd okręgowy uznał za winnych 26 i skazał ich na areszt 3-tygodniowy w policyi, 9 uniewinnił.

— Przed paru dniami w *Pet. Wied.* pojawiła się korespondencya z Szanghaju, którą *Goniec* przytoczył w następującym przekładzie:

„Jak wiadomo, Japończycy, zanim jeszcze wypowiedzieli wojnę, postarali się przedewszystkiem o zagarnięcie naszej floty handlowej, która w składzie 9 okrętów stoi na kotwicy w porcie Sasebo, 3 zaś — w Jokosuko.

W początkach marca st. st. załogi tych okrętów, z wyjątkiem kapitanów, ich pomocników oraz mechaników, wypuszczone zostały przez Japończyków i w liczbie 300 ludzi przybyły do portu neutralnego w Szanghaju. Bez względu na to, że dzień przyjazdu tego tłumu ludzi nie był niewiadomy administracyi instytucyj rosyjskich w Szanghaju, nie zarządzono środków celem przyjęcia i rozlokowania jeńców i, jak zwykle robi się u nas, w dzień przybycia okrętu rozpoczęły się poszukiwania mieszkań itd.

Przypadkiem baraki letnie wylądowań francuskich były puste i odstąpiono je nam chętnie za opłatą 80 jenów od osoby na dobę wraz z utrzymaniem.

Okrągłe trzy tygodnie podczas deszczowej pory przebyli ci nieszczęśliwi ludzie w owych letnich barakach. W jaki sposób byli oni tam rozlokowani, czem się żywili, o tem nikt absolutnie, ani nasz konsul, ani agentura morska Towarzystwa wschodnio-chińskiej kolei, która podjęła się obowiązku opiekowania jeńcami—nie wiedział.

Trudno, ba, nawet zupełnie niepodobna wyobrazić sobie gorszych warunków, w jakich się znajdowali nasi rosyjscy ludzie. Pokój powierzchni 4 sążni kwadratowych, mieścił w sobie 18 do 20 osób, leżących bez jakiegokolwiek posłania na podłodze, ogrzewając jeden drugiego. Zimno i wilgoć ciągnąca przez całowe szpary w podłodze, dawały się we znaki. Jeżeli nie ciekło z góry, za to od spodu i z boków woda nie zatrzymywała się. Same baraki są niczem innem, jak prostemi szopami, wzniesionemi na ziemi, bez fundamentów i bez okopania rowami; służyły one Francuzom podczas gorących miesięcy letnich.

Pożywienie, którem karmiono naszych Rosyan, składało się z liści kapuścianych, gotowanych w słodkiej wodzie; zresztą, dla pozorów, rzucano kilka kawałków sadła. Gdyby majtkowie nie kupowali sobie za własne pieniądze artykułów spożywczych, niema wątpliwości, że tyfus zabrałby niemało ofiar.

Takiej dziwnej obojętności ze strony naszych administratorów w czas tak burzliwy trudno się było spodziewać.

Niewiadomo, czy odwiedzał jeńców korespondent *Now. Wrem.*, przebywający tutaj, jest pewnem wszelako, że nie widziano tam ani konsula, ani agenta żeglugi morskiej. Okręt „Annam,“ wydzierżawiony przez agenta żeglugi morskiej Tow. kolei wschodnio-chińskiej a należący do Tow. wschodnio-azyatyckiego, w dniu 20 marca st. st., zabrawszy na pokład załogę, kilkanaście osób prywatnych, z wyjątkiem załogi „Floty dobrowolnej“ i jeszcze wielu osób postronnych, odpłynął z Szanghaju do Sajgonu, skąd, przyjąwszy pełny ładunek ryżu, udał się do Port-Saidu.

Nie mówiąc już o nieprzygotowaniu okrętu do przewożenia podróżnych i tych urządzeniach, jakie były poczynione na dnie okrętu dla II i III klasy, niewytrzymujących najpobłażliwszej nawet krytyki, niepodobna pominąć milczeniem rzucającego się w oczy faktu: agentura żeglugi morskiej kolei Wschodnio-Chińskiej i funkcyonaryusze podczas wydzierżawiania okrętu — ludzie tak niedbający o interesy rosyjskie na Dalekim Wschodzie, na tyle mało przeniknięci ideą ludzkości w stosunku do tych jeńców rosyjskich, wysyłanych na podobieństwo „katorżników,“ że nieuchronne są w drodze skargi i niezadowolenie. Na to należy bezwarunkowo zwrócić uwagę administracyi w Rosyi, która powinna raz na zawsze położyć kres nieporządkom i lekceważeniu obowiązków, które panowały podczas ekspedyowania jeńców z Szanghaju. Wszystko to, razem wzięte, doprowadzi do zdyskredytowania rosyjskiej powagi na Wschodzie, którą można utrwalić jedynie przez mianowanie tutaj bardziej humanitarnych naszych agentów zarówno w instytucyach prywatnych, jak rządowych.

Gdyby wziąć pod uwagę sumę, zapłaconą za okręt, oraz sumę pobraną przez wynajmującego w formie prowizyi, niema wątpliwości, że starczyłaby ona wówczas w zupełności na kupno biletów jeńcom rosyjskim na jednym z pocztowo-pasażerskich okrętów niemieckiej lub francuskiej żeglugi, zużywającym 22 dni czasu na przebycie od Szanghaju do Port-Saidu. Okręt „Annam“ jest specyalnie okrętem handlowym o szybkości 10 węzłów na godzinę, będzie więc w drodze 40 dni, a prócz tego zatrzyma się jeszcze 7—8 dni w Sajgonie dla zabrania pełnego ładunku ryżu.

Główną przyczyną tego oburzającego faktu była owa ponętna prowizya, którą ofiarowali właściciele owego okrętu wynajmującemu go, przyczem zapomniano nawet o poczuciu godności narodowej“...

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Rozkazem Najwyższym polecono wprowadzić prawo o zarządzie ziemskim w gub. Wołyńskiej.

— Urzędnikom warsz. oddz. Banku państwa odmówiono urlopów letnich z powodu możliwego powołania pod broń personelu młodszego i obciążenia jego pracą pozostających na miejscu.

— Minister spraw wewnętrznych zwrócił się listownie do zarządzających dyecezyami rzymsko-katolickiemi w Królestwie Polskiem z prośbą o ustanowienie w kościołach zbierania ofiar dla rannych i chorych żołnierzy na Dalekim Wschodzie, i odsyłanie ofiar raz na miesiąc bezpośrednio do kasy głównego zarządu Czerwonego Krzyża.

— Z Katowic wydalono stu robotników górniczych, pochodzących z Galicyi.

— Przedsiebiorcy budowlani w Wiedniu, chcąc zmusić robotników do przyjęcia wyznaczonej im taryfy płacy, zagrozili zawieszeniem wszelkich robót do czasu obopólnej zgody. Zarząd organizacyi robotniczej nie przyjął warunków, a nadto postanowił 30,000 robotników odesłać osobnymi pociągami do miejsc pochodzenia. Wobec tego roboty w całem mieście stanęły.

— Rząd niemiecki, chcąc uzupełnić brakujących nauczycieli ludowych, postanowił sprowadzić ich z Austryi Dolnej. Zgłosiło się 150 kandydatów.

— Trybunał Rzeszy niemieckiej zabronił dentystom używania tytułu doktora, nabytego w Ameryce. Zakaz ten dotknął 326 osób.

Szkoły i wychowanie. Projektowane na sierpień r. b. otwarcie szkoły techników rolnych postanowiono

odłożyć do r. 1906 z zamiarem umieszczenia jej przy instytucie agronomicznym w Nowej Aleksandryi (Pu[illegible]).

— Liczba podań, wniesionych w r. b. przez kandydatów do szkół średnich, przewyższa dwakroć liczbę miejsc wolnych.

— Uniwersytet Jagielloński otrzymał na własność folwark Mydlniki pod Krakowem, obszaru 288 morgów, w którym urządza fermę doświadczalną praktyczno naukową rolnictwa, hodowli inwentarza, mechaniki, inżynieryi rolniczej, leśnictwa i rybołow[illegible].

Wiadomości naukowe. Ministeryum oświaty, w celu odróżnienia charakteru odczytów publicznych od ludowych, wyjaśniło, że wykłady, [illegible] przyciągnięcie słuchaczów przeważnie z warstw niższych: ludności wiejskiej, robotników fabrycznych i rzemieślników, oraz uczniów szkół niższych, powinny być zaliczone do odczytów ludowych, jak również odczyty, urządzane w miejscowościach wiejskich z niską opłatą za wejście, lub z wejściem bezpłatnem. Pozwolenia zaś wydają dyrektorowie szkół ludowych w porozumieniu z gubernatorami.

— Z początkiem przyszłego roku szkolnego w uniwersytecie lwowskim otworzone będą dwie nowe kliniki: psychiatryczna i laryngologiczna.

Ze sztuki. W *Gaz. Polskiej* czytamy: Przed kilku miesiącami zarząd Salonu Artystycznego na Nowym-Świecie ogłosił konkurs malarski na „Głowę mężczyzny," z nagrodami pieniężnemi. Na konkurs ten nadesłano ogółem około piętnastu prac. Sąd konkursowy uznał, iż nie odpowiadają one warunkom konkursu. Wobec tego jeden z artystów-malarzy, uczestników konkursu, w imieniu całego ich grona, wystąpił za pośrednictwem adwokata o zadośćuczynienie zobowią[illegible] lub też o wypłacenie odszkodowania uczestnikom, którzy dla wykonania dzieł konkursowych ponieśli stratę czasu oraz koszta pieniężne.

— Na cmentarzu Montmartre w Paryżu wzniesiono pomnik na grobie Zoli.

Literatura i prasa. Żadnej z pieśni nadesłanych na konkurs Towarzystwa wioślarskiego nie uznano za odpowiadającą warunkom. Wobec tego komitet Tow. ogłasza konkurs powtórny z terminem do d. 1 lipca r. b. Nagrody 75 rb. za utwór 20-wierszowy.

Sprawy ekonomiczne. Rada warszawskiego okręgu wojskowego zwróciła się z zapytaniem do komitetu giełdy warszawskiej, czy na rynku tutejszym jest żyto, mąka, kasza i owies, zadość czyniące wymaganiom dostaw wojskowych, i czy w biuletynach towarowych giełdy warszawskiej mogą być wskazywane ceny produktów zbożowych, odpowiadających wymaganiom intendentury w dostawach na potrzeby wojska. W myśl powyższego żądania komitet giełdy uchwalił, ażeby przy tranzakcyach zbożowych do biuletynów giełdowych włączane były ceny produktów, odpowiadających warunkom, stawianym przez intendenturę, z tem jednak zastrzeżeniem, że komitet nie bierze na siebie odpowiedzialności za ich dobroć.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa stara się o powierzenie drobnemu przemysłowi włościańskiemu niektórych zamówień dla armii mandżurskiej, jak namiotów, uprzęży, obuwia itp. W Cesarstwie pośredniczyłyby w tej dostawie ziemstwa i Tow. rolnicze, w Królestwie Polskiem — miejscowy oddział Tow. przemysłu i handlu.

Koleje i komunikacye. *Praw. Wiestnik* ogłasza „Dla zadośćuczynienia wzmożonemu ruchowi kolejowemu, wywołanemu wypadkami na Dalekim Wschodzie oraz dla sformowania pociągów wojskowo-sanitarnych, wreszcie dla innych potrzeb czasu wojennego, niezbędną się okazała znaczna liczba wagonów wszystkich trzech klas (przeszło 400 wagonów), które też za zgodą ministra komunikacyj użyto tymczasowo z sieci kolei europejskich, redukując obieg ich w pociągach osobowych oraz towarowo-osobowych i wycofując zupełnie wagony 2-ej klasy z pociągów mniejszej szybkości. Ponieważ te zarządzenia, wywołane siłą okoliczności, muszą wpłynąć na dogodność przejazdu podróżnych na kolejach, a w pewnych razach wywołać nawet pewną ciasnotę w wagonach klas wyższych, przeto zarząd kolei dla uniknięcia wszelkich niesłusznych narzekań na administracyę kolei miejscowych, uważa za swój obowiązek podać do wiadomości publicznej o takim stanie rzeczy." Wydano również polecenie zarządom kopalni węgla w Dąbrowie Górniczej, aby zażądały od swych odbiorców fabrycznych wcześniejszego, niż w kontrakcie oznaczono, odbioru produktu, gdyż przewidywane jest na jesień zapotrzebowanie na Daleki Wschód wagonów i lokomotyw towarowych.

— Polecono urządzić biblioteki dla chorych w szpitalach kolejowych.

— Komisya, obradująca nad sposobami podniesienia dochodów kolejowych, uchwaliła podwyższyć cenę biletów I klasy.

Katastrofy. W miasteczku Mielnicy, pod Kowlem, spaliło się 120 domów i troje ludzi; w Ozorkowie — przędzalnia braci Kryszków; kilkadziesięciu robotników pozostało bez zajęcia.

Zmarli. Józef Texel, artysta dramatyczny i b. dyrektor teatrów prowincyonalnych, w Łodzi.

— Dr. Leon Cyfrowicz, profesor i sekretarz Uniwersytetu Jagiellońskiego, w Krakowie.

OFIARY.

Na powodzian: Lolo i Staś S. 3 rb., Franuś Siemiradzki 3 rb., Wincenty Protasewicz 3 rb., Jan Obrompalski 1 rb., Agnieszka Nagla 10 kop., Katarzyna Romanowska 20 kop., Antonina Bolsewicz 10 kop., Maryanna Drak 10 kop.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Мая 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8